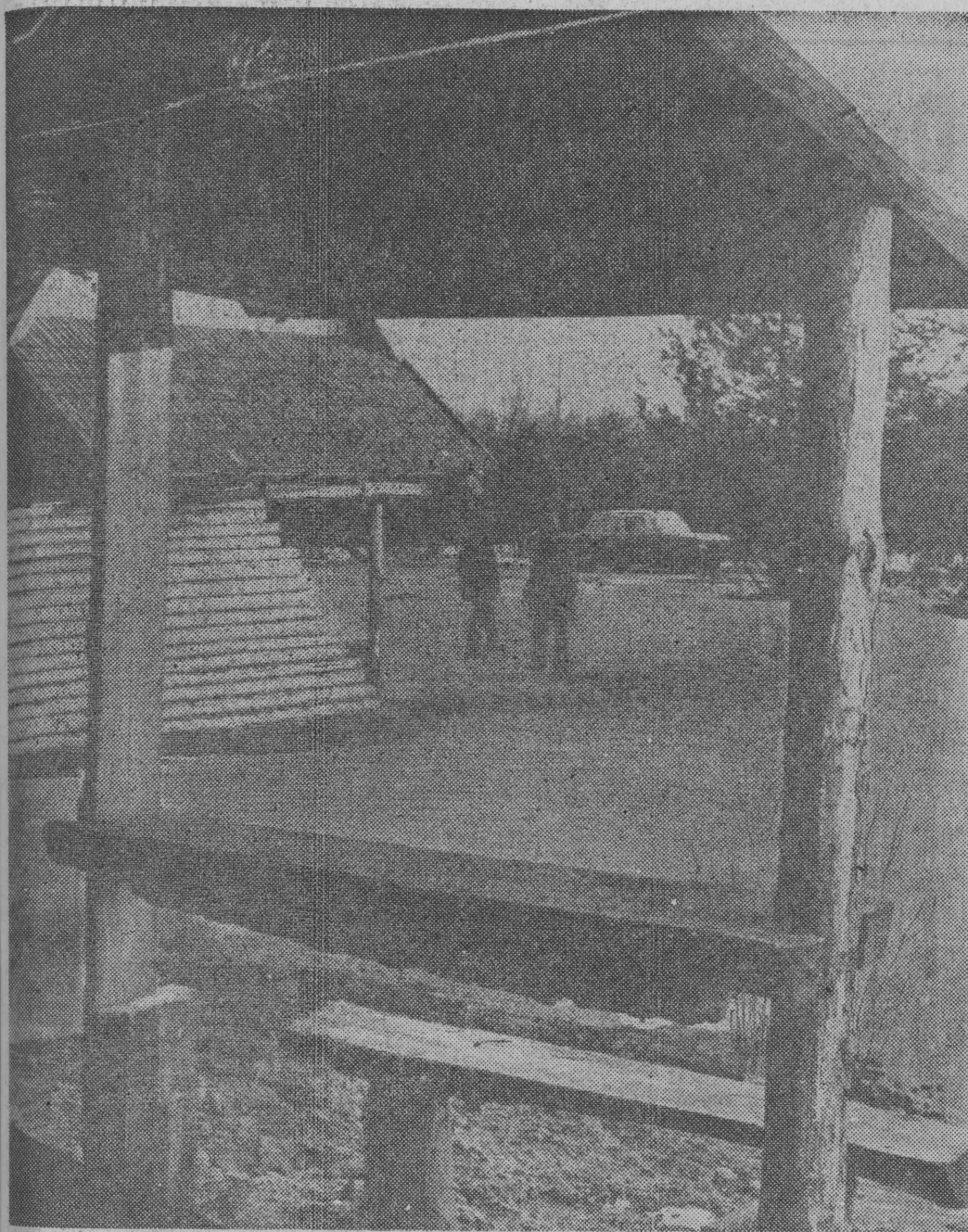




Wiosna za pasem, pierwsi turyści odporni na chłód, odwiedzają zaciszne miejsca biwakowe w Puszczy Kurpiowskiej.

Fot. Gabor Lorinczy

Do stanowiska urzędnika - przez aplikację i ślubowanie

WARSZAWA (PAP) — „W PEŁNI ŚWIADOM SWOICH OBOWIĄZKÓW ŚLUBUJĘ UROCZYSZCIE NA POWIERZONYM STANOWISKU PRZYZYSCIE SIĘ ZE WSZYSTKICH SIŁ DO SOCJALISTYCZNEGO ROZWOJU POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ, DOCHOWAĆ JEJ ZAWSZE WIERNOSCI, SŁUŻYĆ PAŃSTWU I OBYWATELOM, PRACĘ WYKONYWAĆ SUMIENNIE I STARANNIE, PRZESTRZEGAĆ ZASAD PRAWORZĄDNOŚCI I SPRAWIEDLIWOŚCI SPOŁECZNEJ, ZALATWIAĆ SPRAWY OBYWATELI WYKAZUJĄC ZROZUMIENIE DLA ICH INTERESÓW, ZACHOWYWAĆ SIĘ LOJALNIE W STOSUNKU DO PRZEŁOŻONYCH I WSPÓŁPRACOWNIKÓW, PRZESTRZEGAĆ TAJEMNICY PAŃSTWOWEJ I SŁUŻBOWEJ” — Tak brzmi tekst ślubowania, jakie — w myśl projektu ustawy o pracownikach urzędów państwowych — składają będą urzędnicy przed podjęciem pracy.

Ślubowanie, to jeden z przyśladów nowych rozwiązań, mających podnieść rangę i prestiż urzędników państwowych. Projekt ustawy określa całokształt obowiązków

i praw urzędników zatrudnionych w naczelnym, centralnym i terenowych organach administracji państwowej, kancelarii Sejmu i kancelarii Rady Państwa, urzędach pod-

ległych naczelnym i centralnym organom administracji państwowej.

Tak więc, w myśl opracowanego dokumentu, urzędnikiem może być pełnoletni obywatel Polski mający zdolność do czynności prawnych oraz korzystający z pełni praw publicznych. Kandydat na urzędnika musi też dysponować odpowiednim wykształceniem, dawać swoją postawą obywatelską rejonem należytego wykonywania zadań, oraz mieć odpowiednie warunki zdrowotne.

Istotnym rozwiązaniem proponowanym w projekcie jest zatrudnianie urzędników państwowych przede wszystkim na podstawie mianowania.

Ciąg dalszy na str. 2

Amerykański bojkot libijskiej ropy

WASZYNGTON (PAP) — Prezydent USA, Ronald Reagan podjął w środę decyzję o bojkocie importu libijskiej ropy naftowej oraz wstrzymaniu eksportu do Libii amerykańskiego sprzętu wiertniczego oraz technologii niezbędnych do produkcji ropy naftowej.

Rząd amerykański oficjalnie uzasadnił ten krok, jako reakcję na rzekomy spisek libijski, mający na celu „fizyczną likwidację kilkuset obywateli USA przebywających w Libii”.

Obserwatorzy w Waszyngtonie zwracają uwagę, że decyzja Reagana oznacza nasilenie prowadzonej od dłuższego czasu przez Stany Zjednoczone kampanii antylibijskiej w odniesieniu do polityki Libii wyrażonej przeciwko hegemonii amerykańskiemu w Złotym Świecie. Wprowadzenie przez Waszyngton sankcji ma charakter nacisku gospodarczego na Libię i są próbą wywołania trudności gospodarczych w tym kraju.

Ogłaszając bojkot ropy libijskiej Waszyngton zapowiedział jednocześnie umacnianie reakcyjnych rządów w Egipcie, Arabii Saudyjskiej, Sudanie, Omanie i w Somalii. Prezydent tego ostatniego kraju, Siad Barre przeżywa aktualnie z wizytą oficjalną w USA. Jak informuje agencja UPI, w czasie rozmów Barre z Ronaldem Reaganem i innymi osobistościami amerykańskimi mówiono o „zagrożeniu Somalii ze strony Libii i sposobach przeciwdziałania się tej groźbie”. Stany Zjednoczone w zamian za oferowaną pomoc gospodarczą usiłują posłużyć się niektórymi państwami arabskimi w kampanii, zmierzającej do zlikwidowania rewolucji libijskiej.

Embargo na import ropy libijskiej nie pociąga za sobą żadnych ujemnych skutków dla gospodarki amerykańskiej z uwagi na stosunkowo małe zapasy ropy naftowej w USA. W Libii.

Pałace i kadłubki

Szary obiekt na niewielkim wzniesieniu sprawia optymistyczne wrażenie, jak wszystko co wyrasta od nowa. Wokół panuje typowy budowlany nieład, świadczący o tym, że wiele tu jeszcze do zrobienia. W szwach trzech kondygnacji odbija się słońce, a przed budynkiem najdłuższą wystrzała ku niebu jakby srebrzysta rakieta, która będzie symbolizowała nowoczesność i rozmach najnowszej inwestycji w JUCHNOWCU. Rakietą, to prosto wysoki komin kotłowni, a cały obiekt — to szkoła: przedmiot wieloletnich zabiegów i starań władz oświatowych i miejscowej społeczności.

Z dyrektorem powstającej szkoły — Eugeniuszem Dudą przemierzam podłogi. Wszelkie instalacje, zamknięte w skomplikowa-

nych systemach rur, kolanek i kranów są już gotowe. W zatłoczonym od urzędników pomieszczeniu młody robotnik zmagając się z gwintem przy

jednym z kotłów centralnego ogrzewania. Trzeba się spieszyć. Wkrótce będzie próbne grzanie. Jeżeli, oczywiście, nie zdarzy się kolejny pech, prze-

W Komisji Praw Człowieka ONZ Jednomyślna aprobatą polskiego projektu

GENEWA (PAP) — Korespondent PAP, Jerzy Wańkowicz pisze:

11 bm. Komisja Praw Człowieka ONZ przyjęła jednomyślnie rezolucję polską, w której wyraża głębokie zadowolenie z postępu osiągniętego w uzgodnieniu przedłożonego przez Polskę projektu międzynarodowej konwencji o ochronie praw dziecka. Rezolucja podkreśla zarazem aprobatę wszystkich państw członków Komisji Praw Człowieka ONZ dla uzgodnionego toku dalszych prac nad ostatecznym kształtem konwencji.

Osiągnięte w tej sprawie porozumienia, mimo napiętej atmosfery obrad, wynikającej głównie z zastrzeżeń stosunków między USA i ZSRR, uznano za sprzyjający czynnik utrzymania ważnej platformy rozwijania i pogłębiania współpracy Wschód — Zachód.

W hucie „Katowice”

Remont wielkiego pieca na finiszu

KATOWICE (PAP) — W kombinacie metalurgicznym — hucie „Katowice” dobiega końca kapitalny remont wielkiego pieca nr 1 o pojemności 3,200 m sześciu. Brygady z hutniczego przedsiębiorstwa remontowego i „Mostostalowy” z Zabrza i Krakowa, przy współpracy ze specjalistami radzieckimi, prowadzą — po raz pierwszy w naszym kraju — remont tak wielkiego agregatu. Zakres prac, prowadzonych od września ub. jest bardzo obszerny. W ich toku dokonana została także modernizacja niektórych urządzeń. Jednostki, wymienione zostaną z żelaza i stali. Całkowicie wymienione zostanie także wmurowanie ogniotrwałe wnętrza agregatu. Wykonawcy zapewnili, iż prace remontowe zostaną zakończone w pierwszych dniach kwietnia br. Takie jest wieloletnie plany huty będącej — mniej więcej — w połowie przyszłego miesiąca — przeprowadzi pierwszy wytop surowego żelaza w tym nowo wyremontowanym agregacie metalurgicznym. W poprzednim, prawie 5-letniej kampanii produkcyjnej wielki piec nr 1 w hucie „Katowice” dostarczył ponad 9 mln ton surowego żelaza.

H. Jabłoński przyjął ambasadora Austrii

WARSZAWA (PAP) — Przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński przyjął 11 bm. na audiencji w Belwederze ambasadora nadwyznającego i pełnomocnego Republiki Austrii Richarda Wotava, który złożył listy uwierzytelniające.

Następnie amb. R. Wotava został przyjęty przez przewodniczącą Rady Państwa na audiencji prywatnej.

Na dziedzińcu belwederu skłama kompania reprezentacyjna WP oddała ambasadorowi honory wojskowe. Odegrano hymny narodowe.

Jest nadzieja na zwiększenie produkcji baterii

PILA (PAP) — Z taśmy wytworzonej w Czarnkowskich Zakładach Elektrochemicznych w Czarnkowie (woj. pilski) seszto w tym roku 180 tys. sztuk baterii 6F-22 i 30 tys. sztuk 6F-25 do radiobiorników. Są to ilości znacznie mniejsze niż w roku poprzednim — co zresztą boleśnie odczuwa się na krajowym rynku. Baterie do komputerów — w których wyspecjalizował się czarnkowski producent — wytwarzano w tym okresie tylko w systemie awaryjnym, głównie z myślą o potrzebach leśnictwa. Wynika to przede wszystkim z braku surowców. Obecne zapasy folii starczą zaledwie do 20 marca, dalsza

produkcja tego, tak poszukiwanego na rynku wyrobu uzależniona jest więc od dalszych jej dostaw. Podjęte próby laboratoryjne uzyskania folii elektroprzewodzącej kraju napawają jednak optymizmem. Wszystko wskazuje na to, że w najbliższych dniach rodzima technologia zostanie opanowana i niebawem wdrożona do produkcji na skalę przemysłową. Z tą chwilą możliwa stanie się realizacja tegorocznych zadań planowych czarnkowskiej „Centrze”. Zamiarza wyprodukować do końca tego roku 3 mln baterii 6F-22 i 500 tys. sztuk 6F-25 oraz rozwiązać ponownie wytwarzanie baterii do komputerów.

ślady od początku budowy szkoły w siedzibie gminy. Jak dotąd Juchnowiec nie miał szczęścia do szkół. Sytuację w ostatnich latach można uznać za szczególnie paradoksalną. Oto główna instytucja oświatowa w tutejszej jednostce administracyjnej nosi nazwę: Zbiórca Szkoła Gminna w Juchnowcu. Jej szefem i jednocześnie gminnym dyrektorem szkół, czyli inspektorem gminnym jest Eugeniusz Duda. Główny dyrektor szkoły, podległych Zbiórce Szkoły Gminnej w Juchnowcu.

Sytuację lokalową poszczególnych szkół można by nazwać szczególnie do inwencji. Rekonesans po terenie gminy pozwolił nam stwierdzić, jak to szczęście okazało się względnie wobec Juchnowca i okolic.

Szkoła 8-klasowa w Lewickich. Drewniany budynek z 5 przejściami, akustycznymi klasami. Nauka odbywała się na dwie zmiany. Dyrektorka

magazyn Gazeta Współczesna

DZIENNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 51 (9569) Białystok — Łomża — Suwałki, 12—13—14 marca 1982 r. Nakład: 208.573 Cena 4 zł

Jak funkcjonują mechanizmy reformy gospodarczej

Posiedzenie komisji z udziałem W. Jaruzelskiego

WARSZAWA (PAP) — Z udziałem prezesa Rady Ministrów, gen. armii WOJCIECHA JARUZELSKIEGO 11 bm. odbyło się w Urzędzie Rady Ministrów posiedzenie Komisji d/s Reformy Gospodarczej. Komisja rozpatrzyła informację o przebiegu wdrażania nowych zasad działania przedsiębiorstw oraz o funkcjonowaniu mechanizmów reformy gospodarczej. W obradach uczestniczył zastępca członka Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — MARIAN WOZNIAK oraz przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, wicepremier ZBIGNIEW MADEJ.

Otwierając dyskusję, premier Wojciech Jaruzelski podkreślił, iż obecne posiedzenie Komisji d/s Reformy Gospodarczej rozpoczyna nowy etap jej działalności. W przeszłości prace Komisji i jej zespołów koncentrowały się na przygotowaniu koncepcyjnym reformy oraz tworzeniu związanych z nią projektów aktów prawnych. Obecnie zaś ciężar pracy przenosi się na problemy wdrażania nowych zasad funkcjonowania gospodarki, na analizę skutków funkcjonowania mechanizmów reformy.

Nawiązując do sprawy wprowadzenia stanu wojennego

Wojciech Jaruzelski stwierdził, iż w żadnym stopniu nie zamawiało to prac nad reformą gospodarczą. Przeciwnie. Bez przywrócenia ładu i dyscypliny społecznej, bez położenia kresu anarchii i rozprężeniu niemożliwe byłoby porządkowanie gospodarki, wprowadzanie przedsiębiorstw na drogę samodzielności i samofinansowania, a hasła reformatorskie pozostałyby pustym dźwiękiem. Zmiany cen zaopatrzeniowych oraz detalicznych stworzyły przedpole dla reformy, niezbędne przesłanki dla przywracania równowagi rynkowej, umocnienia pieniądza, motywacji do

lepszej pracy i racjonalnego gospodarowania w przedsiębiorstwach.

Mówca podkreślił następnie, iż reformę gospodarczą wprowadzamy w wyjątkowo niesprzyjających warunkach. Zostały one gwałtownie pogorszone wskutek sankcji ekonomicznych ze strony USA oraz niektórych innych krajów kapitalistycznych. W obliczu drastycznego braku wielu surowców oraz elementów kooperacyjnych, wobec ostrego deficytu dewiz — powstało w niektórych dziedzinach realne zagrożenie produkcji. Sprawy te — powiedział premier — trzeba rozwiązywać przede wszystkim na drodze zmiany struktury asortymentowej, zastępowania surowców importowanych przez surowce krajowe.

Wiele zależało tu będzie od samych przedsiębiorstw, a zwłaszcza od inicjatyw zalecała naukowo-technicznej.

Ciąg dalszy na str. 2

Z perspektywy minionych miesięcy

Co by wyszło z tej Sieci?

Do końca pierwszego kwartału pozostało dwa i pół tygodnia. Wiadomo, że nie najlepszy będzie jego bilans. W okresie tym — na skutek znanych powszechnie przyczyn — znacznie spadła produkcja w stosunku do tych samych miesięcy ubiegłego roku. Może się ona nawet obniżyć — i to w podstawowym dla zaopatrzenia rynku przemyśle lekkim — jeżeli nie zostaną podjęte skuteczne środki zaradcze.

Przed wszystkim istnieje konieczność polepszenia zaopatrzenia w importowane surowce i materiały, bez których — ze względów technicznych — w wielu przedsiębiorstwach trudno się obejść. Jest to jednakże niezwykle trudny problem przy obecnych warunkach w handlu zagranicznym. Dlatego w większości muszą go przedsiębiorstwa rozwiązywać same. Niezbędne są przedsięwzięcia i inicjatywy ukierunkowane na maksymalne wykorzystanie dostępnych surowców, stosowanie zamienników, wprowadzanie produkcji zastępczej, lecz znajdującej zbyt na rynku, lepsze wykorzystanie sprzętu i kadry. Istotne znaczenie ma przechodzenie na przerób usługowy w ramach współpracy krajów naszego obozu.

Do takich i innych działań skłaniają — i wprost zmuszają — mechanizmy ekonomicznej reformy gospodarczej. Po uchwaleniu przez Sejm pakietu 9 ustaw, ma już ona pełne podstawy prawne. Stworzone tym samym zosta-

ły warunki dla funkcjonowania przemysłu w myśl ustawy sejmowej o przedsiębiorstwie, która weszła w życie z nowym rokiem. Oczywiście, z pewnymi ograniczeniami, wynikającymi ze stanu wojennego.

„PAŃSTWO” W PAŃSTWIE

Mimo trudności reforma gospodarcza, z którą wiążemy duże nadzieje, jest konsekwentnie realizowana. Jest ciężko, nieraz bardzo ciężko, ale zwróćmy uwagę na pierwsze optymistyczne zjawiska: na powoli wypełniające się półki w sklepach spożywczych, skracające się kolejki przed niektórymi sklepami przemysłowymi, na znów pojawiające się w sprzedaży, aczkolwiek wciąż w znikomych ilościach, różnego rodzaju wyroby.

Na pewno „zagrała” podwyżka cen; dziś bardziej liczymy się z każdą złotówką. Nie-

Ciąg dalszy na str. 3

Sesja popularno-naukowa

Ruch robotniczy na Białostocczyźnie

Wczoraj obradowała w Białymstoku sesja popularnonaukowa poświęcona historii ruchu robotniczego na Białostocczyźnie. Uczestniczyli w niej byli działacze tego ruchu oraz aktywni partyjni województwa.

Otwierając obrady sekretarz KW PZPR — Mikołaj Kozak podkreślił, że organizator sesji — Komitet Wojewódzki partii — pragnie przypomnieć, przybliżyć i spopularyzować tradycje ruchu robotniczego z myślą, że będą one służyły sprawom partii i klasy robotniczej.

Dorobek sesji, obradującej z okazji 100 rocznicy powstania partii „Proletariat” i

Ciąg dalszy na str. 2



Min. Ustinow udaje się do Indii

▲ MOSKWA — Jak informuje agencja TASS, minister Obrony ZSRR, Dmitrij Ustinow, w połowie marca br. złoży wizytę oficjalną w Indiach, na zaproszenie rządu indyjskiego.

Próba zamachu w Surinamie

▲ PARYŻ — Według doniesień surinamskiej agencji prasowej SNA odebranych w Hadze, w czwartek rano przed kwatery wojskowej w stolicy Surinamu — Paramaribo — wybuchła strzelanina. Jak wynika z nieoficjalnych informacji — pisze agencja — była to próba obalenia rady wojskowej, kontrolującej od zamachu stanu w lutym 1980 r. życie polityczne tej byłej kolonii holenderskiej, która w listopadzie 1975 r. uzyskała niepodległość.

Protest Grecji

▲ ATENY — Wiceminister Spraw Zagranicznych, Karolos Papoulias wezwał ambasadorów krajów należących do NATO w Atenach i złożył skargę za naruszenie przez Turcję przestrzeni powietrznej Grecji.

Izraelczycy rząd polski, że Papoulias uszkodził ambasadorom na „niebezpieczeństwo” jakie pociągają za sobą podobne incydenty.”

Wyroki w Belfasce

▲ LONDYN — W środę sąd w Belfasce skazał na karę dożywotniego więzienia trzech członków protestanckiego ugrupowania obrony Ulsteru, których zamierzano w 1980 roku katolickiego polityka Johna Turnlę, przywódcę Irlandzkiej Partii Niepodległości.

Turnlę został zabity dziesięć lat temu, na oczach swojej żony i dwojga dzieci.

Nigeryjski kontyngent wojskowy w Czadzie

▲ PARYŻ — Nigeria zwiększyła liczebność swego kontyngentu wojskowego w Czadzie, wchodzącego w skład międzynarodowych sił zbrojnych, do 3 tys. żołnierzy.

Przed kilkoma dniami do Czadu przybył trzeci batalion nigeryjski.



PROGNOZY DLA WOJEWÓDZTWA: białostockiego, łomżyńskiego i suwalskiego

DZIS — zachmurzenie duże z większymi przejaśnieniami, w ciągu dnia — przejściowe opady, deszcz, głównie o charakterze przelotnym. Temperatura maksymalna 6-8 st. C, minimalna od 0 st. do 2 st. C. Wiatr umiarkowany, zachodni.

ORIENTACYJNA NA DALSZY 48 GODZ — zachmurzenie duże, nie posiada wykształcenia mgił. Temperatura 10-12 st. C.

DZIS imieniny: Bernarda i Grzegorza, w SOBÓTĘ: Bożeny i Krystyny, w NIEDZIELĘ: Leona i Matyldy, (ska)

Ciąg dalszy na str. 2

Ciąg dalszy ze strony 1

Ważnym faktem jest, że w wyniku stanu wojennego, w którym trwa proces reformowania gospodarki — powróciła do fabryk atmosfera pracy. Gdy reforma rodzi określone skutki ekonomiczne i społeczne (a prawda ta staje się coraz powszechniejsza), szuka się w przedsiębiorstwach rozwiązań organizacyjnych, technicznych dla przezwyciężenia trudności. Co jest znamienne? To mianowicie — o czym mogłem przekonać się ostatnio w kilku zakładach, a m.in. w ZPW w Wasilkowie — że załogi rzeczywiście żyją problemami swych fabryk, kochając swe osobiste interesy z interesem przedsiębiorstwa.

Myślę, że te i inne fakty skłaniają do głębszych refleksji. Sytuacja jest trudna, ale — zastanówmy się — jaka byłaby w wydaniu myśli ekonomicznej tzw. Sieci „Solidarności”? Co by się działo gdyby państwo — jak to proponowała Sieć — pozbawione zostało wpływu na przedsiębiorstwa?

Taka właśnie koncepcja zawarta była w projekcie Sieci NSZZ Solidarności „O przedsiębiorstwie społecznym”. W jej założeniu i dążeniu było — wbrew Konstytucji PRL — stworzenie przedsiębiorstwa prawie niezależnego od państwa. A przecież wiadomo, że podstawową zasadą ustroju naszego państwa jest społeczna własność produkcji, a przedsiębiorstwo państwowe — co zostało podkreślone w art. 1, rozdziału 1 ustawy o przedsiębiorstwach państwowych — jest podstawową jednostką organizacyjną gospodarki narodowej, tworzącą w celu osiągnięcia efektywnych ekonomicznie wyników przez produkcję dóbr lub świadczenie usług służących zaspokajaniu potrzeb społecznych.

Porównajmy odpowiednie sformułowania. Gdy Ustawa Sejmu PRL (art. 2. 1) głosi, że „Przedsiębiorstwo państwowe, gospodarząc w wyznaczonym zakresie, jest jednostką organizacyjną gospodarki narodowej, tworzącą w celu osiągnięcia efektywnych ekonomicznie wyników przez produkcję dóbr lub świadczenie usług służących zaspokajaniu potrzeb społecznych”, to w projekcie „Solidarności” — „Przedsiębiorstwo społeczne, gospodarząc w wyznaczonym zakresie, jest jednostką organizacyjną gospodarki społecznej, tworzącą w celu osiągnięcia efektywnych ekonomicznie wyników przez produkcję dóbr lub świadczenie usług służących zaspokajaniu potrzeb społecznych”.

Jeśli do tego dodamy stwierdzenie (art. 47 projektu „Solidarności”), że „Przedsiębiorstwo społeczne, gospodarząc w wyznaczonym zakresie, jest jednostką organizacyjną gospodarki społecznej, tworzącą w celu osiągnięcia efektywnych ekonomicznie wyników przez produkcję dóbr lub świadczenie usług służących zaspokajaniu potrzeb społecznych”, to otrzymujemy rzeczwiście typ przedsiębiorstwa absolutnie samodzielnego, całkowicie oderwanego od państwa i nie zależącego od państwa od realizacji interesu społecznego.

Takim to przedsiębiorstwem miała zarządzać załoga, a w zasadzie — gdy weźmiemy pod uwagę projekt Sieci — kilkunastoosobowy zespół, z reguły pod egidą „Solidarności”. Na miejscu dyrektora miał być wykonawca uchwał samorządu. Taka tendencja reprezentowana m.in. KZ „Solidarności” w Białostoku i Fabrykach Mebli, Szykując wybory na własną rękę, bez udziału partii i związków

zowego, próbowano stworzyć taką strukturę, w której samorząd uzależniony byłby od „Solidarności”.

POZA INTERESEM SPOŁECZNYM

Przyjmując, że nie ma stanu wojennego, można sobie wyobrazić co by się już działo, gdyby zadziały prawa takich przedsiębiorstw, których — dodajmy — nie ma nawet w krajach kapitalistycznych. Bo i tam, przedsiębiorstwa obwarowane są przepisami zabezpieczającymi interesy państwa, m.in. w celu utrzymania równowagi gospodarki narodowej.

W warunkach absolutnej samodzielności, a jeszcze w takiej jak obecna sytuacja kryzysowej, przedsiębiorstwa, być może nie wszystkie, ale znaczna ich ilość, narzuciłoby społeczeństwu dyktat w postaci im wygodnej i ostatecznej produkcji. Nie ulega wątpliwości, że w takich warunkach państwo

petencje do samodzielnego i efektywnego działania przedsiębiorstwa, zarazem chroniąc jego interes z interesem gospodarki narodowej.

DRENOWAĆ RYNEK

Brak realizmu, a stąd niemożność przewidywania bądź też lekceważenie skutków wynikających z ewentualnej realizacji zgłaszanych propozycji, widac w koncepcji „wolnej gry” cen rynkowych. W propozycjach NSZZ „Solidarności” w sprawie reformy społeczno-gospodarczej, opracowywanym przez Sieć, czytamy m.in.: „Zasadnicze znaczenie dla funkcjonowania rynku mają zasady kształtowania cen. Ceny większości towarów powinny być określone przez państwo i podaż. W przypadku pewnych artykułów podstawowych (chleb, mleko, podreżniki szkolne itp.) centralne władze gospodarcze winny ustalać ceny maksymalne”.

Co by wyszło z tej Sieci?

ci, że poszczególne przedsiębiorstwa próbowałyby dobierać sobie odpowiedni asortyment, schodzić z różnych pracochłonnych wyrobów, uchylać się od podjęcia produkcji nowych wyrobów, wymagających dodatkowego wysiłku. Przykład produkcji na rzecz rolnictwa, która wciąż kuleje mimo interwencji państwa, jak też innych interwencyjnych założeń w poszczególnych branżach w obronie interesu ogólnospołecznego.

Powiedziemy otwarcie: reforma gospodarcza — to szansa na aktywną rozwójową działalność przedsiębiorstw. Ale reforma gospodarcza ze źle rozumianą samodzielnością i samorządnością przedsiębiorstw — to także realna możliwość partycypacji zakładowego w sferze ekonomicznej i społecznej.

Rzecz oczywista, że przyjęcie koncepcji przedsiębiorstwa społecznego — jak chciała Sieć — prowadziłoby do rozbicia gospodarki narodowej w sferze zarządzania oraz ubóstwienia socjalistycznego państwa. W jego polityce społeczno-gospodarczej — Dia — mówi dyrektor FMR „Agromet” w Czarnej Białostockiej inż. Krzysztof Stępień — nie podjęciem dyskusji nad projektem statutu samorządu opracowanego o program Sieci. Oświadczam, że ustawa sejmowa przyznaje samorządowi wystarczająco duże kom-

W zasadzie, niby sprawa oczywista, wszak i w reformie gospodarczej założono wpływ popytu i podaży na ceny w warunkach konkurencyjności i przy wzroście produkcji. Tylko, że w reformie i ustawie o cenach uwzględniono potrzeby społeczne, czego wyrazem są urzędowe i regulowane ceny oraz działania w wypadkach nadmiernego windowania zysków.

Zgodzenie się na propozycje Sieci oznaczałoby natomiast pogodzenie się z dowolnym dyktowaniem cen przez przedsiębiorstwa, zwłaszcza monopolistyczne. Oznaczałoby to nieograniczone „wzrost kosztów wytwarzania i cen, czyli niecyfrowy nieskrepowany drenaż kieszeni społeczeństwa”.

— Wiadomo, jaki jest nasz rynek — mówi z-ca dyrektora WPHW w Białymstoku mgr Barbara Bakun — Przy obecnym zaopatrzeniu trudno sobie wyobrazić wolne ceny na całe grupy artykułów przemysłowych, jak ubranie, obuwie, lodówka czy wersalka, bez których, tak jak bez chleba, trudno się obejść. Dlatego obok rachunku ekonomicznego produktu musi być przestrzegany interes społeczny, a także państwowy.

Tego faktu nie uwzględniła działalność Solidarności znajdującej i w cenowej sferze spo-

sobność do wyrywania przedsiębiorstwa spod kontroli państwa. A że ludzie pracy — w „obronie” których wzniesiono tyle wzniosłych hasł — pograżaliby się w czarnej biedzie? No cóż, skutki „wolnej” gry cen — jak zawsze — można by rzucić na państwo, jako że społeczeństwo w pierwszym rzędzie rozlicza z efektów gospodarowania rząd i jego administrację. Co też faktycznie czyniono przez długie miesiące, dezorganizując przez strajki i bojkoty gospodarkę narodową.

Ale to już inne zagadnienie, chociaż można mniemać, że w walce o cele polityczne, krajowi i regionalni działacze „Solidarności” — powołując się na samodzielność przedsiębiorstw i samorządność załóg — wykorzystali tę samodzielność i samorządność wbrew interesom robotniczym. Warto tu przypomnieć demagogiczne argumenty w dążeniu do wolnych sobót, które to soboty w nieumiaru słupni zaważyły negatywnie na rezultatach ekonomicznych przedsiębiorstw i zaopatrzeniu rynku. A gdy o cenach mowa, to należy też powiedzieć, że na ich obecny wzrost zadziało też szkodliwe opóźnianie tej operacji przez „Solidarności”.

Gwoli obiektywnej prawdzie były punkty styczne w obu projektach, rzędu i Sieci, na przykład w stwierdzeniu, że przedsiębiorstwo powinno być maksymalnie samodzielne, że powinno nie tylko decydować o swej działalności, ale też brać odpowiedzialność za skutki tej działalności.

Jednakże znacznie więcej było różnic w konkretnych rozwiązaniach wynikających z kwestionowania przez Sieć miejsca i roli przedsiębiorstwa w systemie naszej gospodarki. Dla autorów projektu Sieci samodzielność i samorządność stała się celem samym w sobie dla dalszych rozmyślań w walce o władzę. Groziło to koniunkturalizacją i komercjalizacją poszczególnych przedsiębiorstw, a także ich załóg, a w konsekwencji chaosem w sferze produkcji, zaopatrzenia i zatrudnienia.

Rzeczywistość choć twarda, jest jednak inna. Zamiast chaosu, w którym pograżalibyśmy się przez miesiące, obserwujemy i odczuwamy postępującą stabilizację. Przyczyniają się do niej programy operacyjne (rozdziałnictwo surowców i materiałów), które też poddane było krytyce przez „Solidarności”. Przyczynia się też ruszający z miejsca eksport bojkotowany przez „Solidarności”. Wprawdzie daleko jeszcze do wprowadzenia gospodarki na drogę rozwoju, ale są przesłanki na lepsze jutro. To takiego przekonania upoważnia zarówno postawa załóg robotniczych — jak mówi mistrz Stanisław Krajewski z ZPPiW w Rucianem Nidzie — kochających w swej pracy interes zakładu — jak też interes ogólnospołeczny, jak też państwo, które w ochronie interesów ogólnych — poprzez swe organa kontrolne — wkrocza tam, gdzie górę bierze partycyparyzm.

RYSZARD KLIMASZEWSKI

Poprawiły się warunki leczenia

Gdy przedsiębiorstwo „Instal” w Białymstoku przeznaczyło część pomieszczeń w swoim nowym biurowcu przy ul. Orzeszkowej na placówkę służby zdrowia, uznali, że wyrażili lekarze i pacjenci. Dotychczas przychodnia przemysłowa mieściła się w Dojlidach, a więc na krańcach miasta. Najwięcej kłopotu pacjentom sprawiały dojazdy przepełnionymi autobusami, lekarzom zaś ciasnota pomieszczeń. Teraz poprawiły się warunki, a i pacjenci mają lepszy dojazd.

Przemysłowy Zespół Opieki Zdrowotnej Międzyzakładowej, kierowany przez dr. Grażynę Mazurkiewicz, prowadzi kilka przychodni specjalistycznych: neurologiczną, laryngologiczną, reumatologiczną, ginekologiczną, internistyczną, a także gabinet stomatologiczny.

Z usług przychodni korzysta codziennie ponad 100 pacjentów. Dr. Halina Wójcik pełni funkcję z-cy dyrektora. W gabinetach specjalistycznych, w których znajduje się także gabinet stomatologiczny, zabrakło już wolnych miejsc, a gabinety te są w rzeczywistości niezbędne.

W tych poradniach pacjentów nie brak, tak jak nie brak zabiegów, a przede wszystkim uciążliwych dla zdrowia. Na największe zagrożenie narażeni są pracownicy leśni zatrudnieni przy wyrębie



W głębi budynek „Instalu”, w którym mieszczą się przychodnie. Fot. Z. Zaremba

Ciąg dalszy ze strony 1

szkolnym jest 27 dzieci. Kiedyś zabrakło dla nich miejsca w budynku szkoły. Wtedy Gierlachowski opuścił swoje dyrektorskie mieszkanie i przeniósł się na sublokatorkę na wieś. W jego kuchni i jednym pokoju jest przedszkole, w drugim — biblioteka z 6-tygodniowym „Księgobiznesem”.

— Jak by to mogło być — usprawiedliwia swoją osobistą decyzję dyrektor — żeby biblioteka i przedszkole nie miały warunków? Ta szkoła pozostanie 8-klasowa. Może odejdzie kilka nauczycieli, które myślą o pracy w Juchnowcu.

W Bogdanach warunki lokalowe są bardzo dobre. Piętro gmachu swobodnie mieści wszystkich tutejszych uczniów.

Blizniaczy obiekt stoi w pobliżu Czerwaka. Pusty. Zamknięty na kluczyk. Na tużysze potrzeby był to „pałac”, nigdy nie wykorzystany w pełni, od lat niepotrzebny. Wynowny dokument z czasów ulotnej prosperity nie istnieje, od dawna spółdzielni /produkcyjnej. Krótko, w rzeczywistości z lat pięćdziesiątych — trzeba obecnie skorygować i wykorzystać wielki „pałac” dla społecznych potrzeb. Tymczasowo przechowywane są w budynku wyposażenie dla szkoły w Juchnowcu. Jest ogromna potrzeba utworzenia zakładu dla dzieci upośledzonych, ale brak środków. Znacznie tańszym kosztem szkoła ma być zaadaptowana na dom starości.

Równie imponująca podróż drewnianych chat prezentuje się podawówka w Klewinowie. Zaprogramowana została przed laty na kilkuset uczniów, których nigdy nie mogło być na miejscu i znikąd, by nie dojechali, bo drogi do Klewinowa po prostu nie ma. Kiedy pokonywaliśmy redakcyj-

nym samochodem bezdroża i dotarliśmy na miejsce, wyłączenie dzięki rajdowym umiejętnościom naszego kierowcy Waldka Białousa, uświadomiliśmy sobie, że z równym skutkiem można było jechać na przelaj przez pola. Janina i Jan Roliewiczowie zamieszkali tu z małym dzieckiem przed 14 laty. Władze obiecały wtedy drogę za rok. Tymczasem syn wyrósł, ukończył podstawówkę i codziennie rano przejeżdża się na szosę, gdzie łapie autobus do Białegostoku. Dyrektorowi obrzydło szarżo-

gminie ma szkoła w Juchnowcu. Już w siedemdziesiątych latach budynek groził zawaleniem, ale nie uzyskano od właścicieli zgody na remont. W 1975 r. podstawówka została zlikwidowana. W Juchnowcu i najbliższych okolicach mieszka obecnie ponad 150 dzieci w wieku szkolnym. Zdecydowana większość dowożona jest autobusem do Biel i przyczepą do Hermanówki. W parafialnym budynku oraz w sąsiednim murowanym uczą się dzieci z klas I—III, co oznacza, że w Juchnowcu ist-

Pałace i kadłubki

nieje tylko filia „Zbiorczej Szkoły Gminnej w Juchnowcu”.

Budynek jest odstraszały z zewnątrz i mimo dziecięcego gwaru — smutny w środku. Kadłubkowa forma placówki oświatowej. Sien — od podwórza wypełniona zapachem kapusty. Zaskakująco rozległa sala widowiskowa ze sceną, a w kącie ledwie dostrzeżalny wieżak z okrycia — bo to teraz szatnia. Po-koik pani Rynkiewicz, klasa, koniec. Słucham szów zachwyty na temat nowego obiektu Zbiorczej Szkoły Gminnej. Przecież to już w tym roku. Nareszcie!

Nowa szkoła zaczęła budować w 1976 r. — mówi dyrektor Duda. — W trzy lata póź-

Jakie ZWIĄZKI ZAWODOWE Ludzie dla ludzi

Będąc stałym czytelnikiem „Gazety Współczesnej” postanowiłem zabrać głos w proponowanej przez redakcję dyskusji na temat związków zawodowych. Nie roszczę sobie prawa do nieomyślności — ale jako Polak, a przede wszystkim jako robotnik myślę, że mam prawo wypowiedzieć się w poruszanej kwestii.

Nie podlega dyskusji, że związki zawodowe jako takie istnieją po to, by bronić interesów ludzi pracy. Powinny być one samorządne, stosujące w praktyce zasady przyjętego statutu, stojące na stanowisku poszanowania prawa i uznania istniejącego ustroju w jakim żyjemy — a co za tym idzie — poszanowania zasad Konstytucji.

Jeżeli chodzi o mnie, to wypowiadam się w swoim imieniu i piszę to co myślę. Byłem i jestem członkiem „Solidarności”. To nie moja wina — szarego robotnika, że „szanowna góra” użyła nas do rozgrzewek w sensie politycznym, czy też tylko po to, by osiągnąć cele o-sobiste. To nie my, robotnicy, korzystaliśmy z przywilejów dostępnych państwu — KPN, KOR czy też z KK NSZZ „Solidarności”. W „Solidarności” nie wszyscy kradli miliony, gromadzili broń, nie wszyscy strajkowali. To nie wina szarych ludzi.

Dobrze się stało, że gen. Jaruzelski zapowiedział rozliczenie z grzechów tych panów. I wcale nieprawda, że Polak nie potrafi wyrzec się czegoś. Rzecz w tym, by w każdym, żyjącym w tej Polsce, obudzić zaufanie do tego co się robi. I tutaj jest właśnie pole do działania związku zawodowego. Potrąfione kiedyś wywołał zapal młodzieży — utworzono SP. To była twarda szkoła życia. Nie było różnicy między synem inteligenta a synem chłopca z autopsji. Wiedział, że teraz młodzież wyciąga ręce „daj” — teraz „pan” z miasta wstydzi się popracować na deszczu i po-łóć w blocie.

Myślę, że czas by każdy poznał swoje miejsce w życiu — my nie jesteśmy paustym i ludzie postronni nie będą nam wiecznie pomagać. Przyswyczałimy się do żebrania, a trzeba zacząć rekawę — w pracy uczciwej. Tu tkwią rezerwy, poprzez pracę wydźwignię z kłopotów i będziemy panami na własnym podwórku. Związek zawodowy powinien współuczestniczyć w tworzeniu warunków do wyjścia z kryzysu. Powinien przede wszystkim odrzucić wszelkie ambicje po-

lityczne — zająć się sprawami organizacji produkcji, czasów i wypoczynku, kultury, socjalno-bytowymi, wreszcie wszystkimi tymi sprawami, które nurtują ludzi pracy — bo związek tworzą ludzie dla ludzi.

Struktura organizacyjna powinna być przejrzysta — taka, by każdy członek w podstawowej komórce poprzez swego przedstawiciela miał wpływ na decyzje podejmowane u góry. Gdy zajdzie taka konieczność by mógł wpłynąć na odpowiedź na odstępstwa od zasad statutu. Każda decyzja, nie ugodniona i nie mająca poparcia szeregowych członków związku, powinna być cofnięta, a osoby winne przekroczenia uprawnień powinny być pociągnięte do odpowiedzialności. Decyzje na szczeblu zakładowym wydaje zebranie ogólne. Praca każdego bez wyjątku zarządu, powinna być kontrolowana przez ludzi do tego upoważnionych, skład komisji kontrolnych ma być ustalony i podany do wiadomości związkowców.

Prawo do strajku powinno być zachowane, ale stosowane tylko w ostateczności. Decyzje o strajku może podjąć zarząd, po uzyskaniu zgody 2/3 ogółu związkowców. Związek nie może stosować przymusu, bojkotu itp. w razie odmowy przystąpienia do strajku. W okresie letnim — konkretnie w czasie żniw — związek powinien organizować w dni wolne od pracy grupy robotników (dobrowolnie) do pomocy przy zbiorach bez względu na rodzaj gospodarstwa, za uprzywilejowaniem ludzi starszych i niepełnosprawnych.

W wojennym czasie było złem, ale koniecznym, przetrwać jakieś błędne koło. Według mnie teraz jest czas zastanowić się — co dalej? Myślę, że przede wszystkim praca, uczciwość, wybieście się uprzedzić i nienawidzić jeden do drugiego — to rzeczy podstawowe. Bez tego daleko nie zajdziemy.

SZYMON NADZIAK
Gołubka
woj. suwalskie



Z usług przychodni korzysta codziennie ponad 100 pacjentów. NA ZDIECIU: dr Halina Wójcik wraz ze swym pacjentem.

Ta mleczarnia ma być najnowocześniejszym zakładem przetwórczym nie tylko w przemyśle mleczarskim, ale i w miejscowym grajewskim rolnictwie. Mleczna fabryka o zdolności przerobowej 440 tys. litrów mleka na dobę. W zakładzie: pełna automatyka, tablice sterownicze niemal na każdym stanowisku, cały ciąg technologiczny pod nadzorem guzików. Tylko nacisnąć, a wszystko będzie szło jak z płatka. Słowem, wizytówka nowoczesności wciąż zapóźnionego, bo niedoinwestowanego mleczarstwa pod XXI wiek.

Któż więc śmiałyby sprzeciwiać się takiemu doświadczeniu, inwestycji tak potrzebnej w tym rejonie, nie tylko gdzieś w odległości, ale przede wszystkim w tym rejonie, w którym jest głównym zajęciem większości rolników. Dodatkowym atutem za taką a nie inną lokalizacją grajewskiego giganta był fakt, iż w tamtych 70 latach był istotnie niezbędny; zakłady mleczarskie w Monkach i Prostkach, skupujące z tego rejonu surowiec pękały w szwach, na mlecznej rzeczce — szczególnie w okresach letnich — tworzyły się zatrzaski. Dużo surowca się marnowało, gdy tymczasem widoczne były już wówczas oznaki kryzysu żywnościowego. Właśnie ten zakład, którego koszt szacuje się na 500 mln złotych, ma z tego, nie zawsze dobrze zagospodarowanego surowca — mleka wytwarzać dziennie 32 tony proszku, 76 ton pasz mlekozastępczych, około 16 ton masła i tyleż tysięcy litrów mleka spożywczego. Wartość tych przetworów, jeszcze przed podwyżką, szacowano na sumę miliarda złotych w ciągu roku. A więc tylko niewiele mniej aniżeli osiągała grajewskie „płoty”.

Tak policzono w połowie lat siedemdziesiątych. Pod te rachunki zrobiono założenia projektowe, a później całą dokumentację. Mleczarnia rosła dość szybko. Dyrektor Edmund Szulgo, który po wybudowaniu eklektycznej chłodni w 1978 roku przyjechał do Grajewa, wspomina, że za wyjątkiem budynku socjalnego i proskowni zastał wszystkie pozostałe kubatury obiekty w stanie surowym. W tymże roku rozpoczęły się zbrojenia terenu tj. zakładanie instalacji wodociągowej, sanitarnej, sieci telekomunikacyjnej, kanałów ciepłowniczych itp. Wszystko miało być na głębie w dniu 1 kwietnia 1980 roku. Ten primaaprilisowy termin jednak nie wypadł. Później wyszło na jaw, że oto ta nowoczesna fabryka mleka, wyposażona w niemalże części w urządzenia dewizowe może w ogóle nie ruszyć, bo ścieki zeń płynące usmiercą Biebrę, jeden z 20 najbardziej cennych obiektów przyrodniczych w Europie.

Zaprotestowali przyrodnicy. W sukurs im przyszła opinia społeczna. Zrobił się niemalże skandal. Jak do tego doszło, kto zwinął, próbowali ustalić „Kontrasty” piórem Barbary Krzyszkowskiej. O skutkach braku oczyszczalni ścieków mleczarskich alarmowały łomżyńskie „Kontakty”. Sprawa

stała się również przedmiotem głośnej i stanowczej interwencji poselskiej. Głos w obronie Biebrzy zabrali też grajewscy członkowie rady narodowej. W wyniku tego protestu i embarga społecznego ruszyła budowa specjalistycznej oczyszczalni, zdolnej neutralizować bardzo agresywne białkowo-cukrowe ścieki. Cykl jej budowy określono na 26 miesięcy. Budowlani deklaru-

ją, że nie ma żadnych przeszkód, że zresztą i teraz niektórzy pracują przy budowie tej nieszczonej oczyszczalni. Ale wiadomo, jak to wszystko odbija się na zakładzie, na ludziach, demoralizuje ich po prostu. Z tego też powodu nie ma ludzi odeszło do konkretnej, zgodnej z wyuczoną zawodem pracy.

Przypomnijmy, że głównym inwestorem grajewskiej mleczarni jest Woiewódzka Spół-

Kilka uwag przed rozruchem

ja skrócenie i są zdania, że najdalej w czerwcu ta niezbędna inwestycja będzie gotowa, a więc powstaną warunki do rozruchu mleczarni. Tymczasem wykonawcy usuwają usterki, pospiesznie uwiązują się przy robotach w budynku socjalno-bytowym. Chęć zdążyć i zrobić wszystko, by tym razem, już czwartym termin oddania całego obiektu do użytku nie okazał się jeszcze jednym terminem primaaprilisowym.

Czy to się uda? Właśnie z tym pytaniem zwrócił się do dyrektora mleczarni Edmunda Szulgo.

— Zaczęło od tego, że już dwa lata temu, we wrześniu 1980 r. miałem już skompletowaną i przeszkoloną załogę. Ale gdy zaczęło się wszystko walić, trzeba było coś z ludźmi zrobić. Fachowców udało się upchać do mleczarni w Kolnie, Białej Piskiej, Zambrowie, Prostkach i Monkach, bo w tychże zakładach przetwarzamy mleko, które skupujemy w dziewięciu gminach. Pozostali pracowali dorywczo gdzie się dało, np. przy łataniu worków i sortowaniu ziemniaków w Centrali Nasienniej. Brygady techniczne pomagały przy instalowaniu maszyn i pracach budowlano-

dzielnia Mleczarska w Łomży, zastępczym zaś Biuro Studiów, Projektów i Realizacji Inwestycji Przemysłu Mleczarskiego, Oddział w Białymstoku. Dlatego przypominam o tym, ponieważ dyrektor Szulgo, mówiąc o perspektywach rozruchu i pracy mleczarni, najwięcej pretensji kieruje właśnie pod adresem tychże instytucji. Omówimy te uwagi po kolei, zaczynając od początku, gdyż późniejsze błędy były następstwem właśnie pierwszych, najważniejszych nieopatrzeń. Jest to dlatego ważne, bo choć będzie oczyszczalnia, mleczarnia może nie ruszyć.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, iż nasze polskie przetwórstwo mleczarskie jest za późnione, niedoinwestowane, szczególnie zlewnie mleka, nie mówiąc już o producentach rolnikach, którzy absolutnie nie posiadają urządzeń do szybkiego schładzania mleka po udoju. W efekcie zania mleko trafia do zakładu mleczarskiego, bywa już nadkwaszone. W sezonie, a więc w miesiącach letnich 70-80 proc. skupowanego mleka, to właśnie surowiec już kwaśny o odczyn nie ponad 7,5 SH. Tymczasem inwestorzy, którzy zakupili wyparki i inne urządzenia do proskowni w Da-

ni, chyba zapomnieli, że firma „Anhydro” zastrzegła w kontrakcie, iż na wyparki nie może pojeść mleko o wyższej kwasności niż 7,5 SH. W przeciwnym wypadku nastąpi zapieczenie mleka na ściankach tych urządzeń, co przyniesie spore straty surowca oraz szybsze niszczenie wyparek. Co więc robić z mlekiem zakwaszonym? Najprościej oczywiście byłoby przerobić na kazeinę, tzw. produkcję z masy. Ale okazuje się, że projektanci z białostockiego Biura takiego działu nie przewidzieli, wychodząc chyba z założenia, iż skupowane mleko, to idealnie świeży surowiec do jakiego przystosowane są duńskie wyparki. A przecież nasze rolne realia nie dają się porównać do duńskich. Tam każdy hodowca ma w domu chłodniarkę, taką jak prawie każda polska gospodyni. Nasz rolnik dysponuje jedynie wodą, której zdolności chłodnicze, zwłaszcza w cieple, są znikome.

Z jakością surowca-mleka wiąże się stopień odwirowania tłuszczu. W zakładzie grajewskim zastosowano wirówki importowane, wprawdzie bardzo wydajne — 2000 litrów mleka każda, ale mają jedną wadę, mianowicie zbyt dużo tłuszczu zostawiają w mleku, gdy jest ono nadkwaszone, co oczywiście odcisnie się na efekcie finansowym zakładu, który jak wszystkie wchodzi w okres samofinansowania. Skoro mowa o rozrachunku nie od rzeczy będzie wspomnieć o jeszcze jednym urządzeniu importowanym z obszaru dolarowego. Chodzi mi o przepływowe mierniki fińskie do ustalania ilości surowca, które dostarczają zlewniarze. Mierniki te ponoć zdają się doskonale egzamin w przypadku cieczy, które nie pienia się podczas ruchu np. benzyny w dystrybutorach stacji CFN. Jednakże mleko ma to do siebie, iż wprawione w ruch absorbuje powietrze, zwiększając swoją objętość, co mogą wykorzystać nieuczciwi zlewniarze, a co koniec końców odbije się na gospodarności zakładu i zarobkach załogi. Ale nie martwmy się na zapas, bo jeszcze nie wiadomo, czy owe mierniki przepływowe będą mogły być eksploatowane, a to z tego powodu, iż urzędy miar i wag nie legalizują takich urządzeń.

Jak już wspominałem, firma duńska „Anhydro” zastrzegła w kontrakcie pewne parametry, które muszą być zachowane, aby te importowane maszyny i urządzenia pracowały prawidłowo. Obojętności mleka, ważną sprawą jest ciśnienie pary cieplnej przy wejściu jej na urządzenia wyparne, gdzie będzie powstawał próżek mleczny. Nie może być ono niższe niż 14 atmosfer. Tymczasem próba wykazała, iż na 600-metrowym odcinku, a w takiej odległości zlokalizowano kotłownię od zakładu, spadek ten jest duży i pożądanego nie pozostało bez wpływu na parę. Sterownik z automatu, który ma być w grajewskim zakładzie trudno prze-

Tych kilka uwag — obaw dyrektora Szulgo przed rozruchem mleczarni, powinni wziąć sobie do serca ci, którzy chcą rzeczywiście, aby już ten chciany ponoć termin rozruchu mleczarni stał się faktem, a nie jeszcze jednym planowanym bluffem. Myślę przede wszystkim o inwestorach i wykonawcach, a zwłaszcza tych pierwszych, którzy mają arbitrażową wojnę z dyrektorem mleczarni, powinni zrobić wszystko, by zakład, który miał być wizytówką, nie stał się reliktem organizacyjnego i budowlanego bałaganu z niechlubnej drugiej połowy lat siedemdziesiątych.

STANISŁAW
POGRZELSKI

Cały kraj wiedział, że jest królewskim synowcem, że jest młody, szalenie przystojny i pełen temperamentu. Cała Warszawa plotkowała na temat szaleńczej nocy w pałacu „Pod Blachą” i wycznów jej gospodarza, który nierzadko Godyna potrafił przejechać przez miasto nago, „pewien swego pięknego niby grecki posąg ciała”. O jego miłośkach, o uroku, któremu nie mogła oprzeć się nie tylko żadna „księżniczka czy hrabianka, ale i każde dziewczę z polskiego dworku” — krążyły legendy.

Legenda nie lubi przegrywać z rzeczywistością, bohater legendy — również, Dlatego książkę Pepli, między nami mówiąc, z biegiem lat coraz częściej „podpierał się” gorsetem, a na co dzień nosił zgrabną, przysławiającą lysińską perukę z kręconych, zaczesanych do przodu włosów. Dlatego też jego bohaterka, wyzbyta wszelkiego kabotyństwa śmierć w nurtach Elstery, współcześni mu, a i późniejsi ikonografowie przedstawili w sposób, który znał całe pokolenia Polaków — a który niewiele ma wspólnego z rzeczywistym obrazem wydarzenia, które



Szepietowo-w samo południe

Fotoreportaż Gabora Lörinczego



HISTORIE WIARYGODNE

Zaloty, konkury i małżeństwa na próbę

Wśród plemion żyjących na obszarach Azji Południowo-Wschodniej, młodzież utrzymuje się z sobą przedmałżeńskie stosunki intymne nie gorzej tym dotychczas. Zjawisko to jest przez tamtejsze plemiona akceptowane. Nie koliduje ono z tzw. moralnością. Swobodne pojęcie młodych ludzi stanowi swego rodzaju hamulec, zapobiegający nadużyciom i perwersjom erotycznym. Młodzież nie przekracza poza naturalne granice w tym względzie. Stosunki te nie mają nic wspólnego z rozwiązłością, jest to po prostu zwyczajowa forma kojarzenia się małżeństwa, z tym tylko, że nieco odmiennie od spotykanej u nas. Są to swobodne małżeństwa na próbę.

Podkreślić trzeba, że w czasie trwania próbnego małżeństwa, partnerzy dochowują sobie wierności. Takie wolne związki w przeważającej większości kończą się zawarciem formalnego małżeństwa.

Przy tej pozornie swobodzie seksualnej nie spotyka się przypadków jej nadużyć. Nie zdarzają się tam też przypadki zgwałceń. Taki akt jest bardzo surowo oceniany i karany przez tamtejszą zbiorowość, ze śmiercią włącznie. Niezwykle ostre sankcje grożą też mężczyźnie za pojęcie z dziewczyną jeszcze fizycznie niedojrzałą.

Do zbliżenia zazwyczaj zachęcają dziewczęta, choć stosunki bardziej intymne inicjują chłopcy. W późniejszej Tajlandii pięć często przenosi się na późny dzień do domu kandydatki na małżonkę, z którą współżyje. Na ten czas nie zabiera jednak swych rzeczy osobistych i nie jada w rodzinie swojej ukochanej. Rodzice dziewczyny zachęcają ją do swobodnego spędzenia z nim nocy, jeśli jedno z nich dojdzie do wniosku, że sobie nie odpowiadają, wtedy następuje zerwanie małżeństwa na próbę. Rodzice dziewczyny nie mają pretensji do chłopca o pozabawienie jej cześci i dziewictwa. Ona zaś nie traci czasu na oświadczyny publicznej. Gdy zaś chłopiec dojdzie do wniosku, że próba małżeństwa mu podoba, wtedy traktuje ją jako formalną członkinię rodziny.

Jak dalece moralność poszczególnych plemion sankcjonuje małżeństwa na próbę, świadczy fakt, że u wielu z nich po ustaniu istnienia oficjalnego związku, w którym młodzież przebywa i

supla korzystając z zupełnej swobody” (Stuczniński). Tak dzieje się między innymi w południowym Wietnamie.

W przypadku zaliczenia do ciążę wskutek stosunków przedmałżeńskich, rodzina wywiera nacisk na sprawcę, by się z dziewczyną ożenił, co ten zazwyczaj bez większych oporów czyni.

Wierność partnerów w tych związkach nie jest jednakże niepodważalną zasadą. Wiele z nich jest swobodnych i nie ma żadnych przeszkód, by w tym czasie zmienić partnera. Wiele z nich jest swobodnych i nie ma żadnych przeszkód, by w tym czasie zmienić partnera.

Wśród ortodoksyjnych wyznawców Allaha na wschodzie Indii, dojrzałe dziewczęta są odseparowane od swych rówieśników. Doborem kandydatek na żony i kandydatów na mężów zajmują się ojcowie, i to nie tylko w okresie małżeństwa na próbę, lecz w ogóle. Przestrzegają się tej zasady jako naczelnego zwyczaju i nakazu religijnego.

Wśród ortodoksyjnych wyznawców Allaha na wschodzie Indii, dojrzałe dziewczęta są odseparowane od swych rówieśników. Doborem kandydatek na żony i kandydatów na mężów zajmują się ojcowie, i to nie tylko w okresie małżeństwa na próbę, lecz w ogóle. Przestrzegają się tej zasady jako naczelnego zwyczaju i nakazu religijnego.

Wśród niektórych plemion, starszy brat przed śmiercią przekazuje swą żonę młodszemu synowi. W ten sposób wydatnie związany z nabywaniem małżonki. Gdy zaś kobieta umiera bezpotomnie, wtedy rodzina jest zobowiązana dać wdowi-lemu dziewczynę jej siostrę bezplatnie, oczywiście gdy ja ma.

Tamtejsi mieszkańcy tłumaczą sobie monogamię jako przejaw ubóstwa.

Koran zezwala wyznawcom Allaha na posiadanie czterech żon. Chłopi opłaca się posiadanie kilku żon, za które dostają dość wysoką opłatę, ale tylko jednorazowo. Ciągłe wymagania sytuacji robotniczej byłoby bardziej kosztowne.

Kobiety wykształcone występują przeciwko poligamii. Jednak starsze pokolenie nieustannie oraz młodsze kobiety opowiadają się za tradycyjną poligamią. Kobiety na wschodzie Indii są często zainteresowane nową żoną swego męża. Dodac trzeba, że wśród żon istnieje gradacja. Nowa małżonka spadają najczęściej obowiązków. Wierny mąż musi wystąpić z zdecydowaniem przeciwko monogamii. Wieloletnie życie do kolejnego ożenku, by w ten sposób użyć swemu losowi. Dodac trzeba, że wśród żon istnieje gradacja. Nowa małżonka spadają najczęściej obowiązków. Wierny mąż musi wystąpić z zdecydowaniem przeciwko monogamii. Wieloletnie życie do kolejnego ożenku, by w ten sposób użyć swemu losowi.

Wśród prymitywnych plemion tego rejonu obowiązują absolutnie. Ta święta księga dotyka wierność partnerów. Takie pojęcie jak kochanek trójki małżeńskie są tym ludom obce. Metalka na Półwyspie Malajskim ma prawo doradzić żnie z bratem swego małżonka, przebywającego przez czas dłuższy poza domem. On, znowu, gdy znajdzie się daleko od domu, może legalnie, zgodnie ze zwyczajem, spędzić noc z krewną swej małżonki.

W przypadku cudzołóstwa stosuje się sankcje karamiczne. Ta święta księga dotyka wierność partnerów. Takie pojęcie jak kochanek trójki małżeńskie są tym ludom obce. Metalka na Półwyspie Malajskim ma prawo doradzić żnie z bratem swego małżonka, przebywającego przez czas dłuższy poza domem. On, znowu, gdy znajdzie się daleko od domu, może legalnie, zgodnie ze zwyczajem, spędzić noc z krewną swej małżonki.

Oto jak różne jeszcze obyczaje panują na naszym globie.

CZESŁAW
WRONKOWSKI

głji Honorowej i Wojskowej Krzyża, kapeluszy stosowny i burki. Warto o tych szczegółach pamiętać, gdy patrzymy na setki obrazów i rycin, przedstawiających śmierć naszego bohatera narodowego w nurtach Elstery i późniejsze wywołanie jego zwłok przez

nia, zaś na widok zbliżającej się piechoty nieprzyjacielskiej spina go, i zwała się do Elstery. Kiedy jest już prawie na drugim brzegu otrzymuje ostatnią kulę — w pierś i tonie. Nie było w tej śmierci żadnego kabotyńskiego gestu, była — jak pisze Żalowski —

wała artystów i spotykała się z najwyższym przyjęciem publiczności. Najbardziej też odpowiadała panującym wówczas modom romantycznej. Mimo, że wielu wyższych dowódców wojskowych i generałów gnieło na polach bitewnych tej krwawej epoki, żadna jednak

Legenda

rozegrało się wczesnym popołudniem 19 października 1813 roku nad brzegiem małej rzeczki, mylnie nazywanej Elstery.

PROSTA
ŻOŁNIERSKA RZECZ
— ŚMIERĆ...
LECC NIC WIĘCEJ...

W czasie „bitwy narodów” pod Lipskiem, w dniach 12-19 października 1813 roku, nad brzegiem małej rzeczki, mylnie nazywanej Elstery.

lipskich rybaków. Dwukrotnie ranny, mając przy sobie kilkuset żołnierzy, zostaje na skutek przedwczesnego wysadzenia mostu na Pleissie odcięty od głównego trzonu armii Napoleona. Otrzymuje trzeci postrzał w rękę, którą owija chustą. Rzucza się wprawdzie przez Pleissę, ale zostaje wyłowiony przez francuskiego kapłana, Blechampa. Rusza pieszko w kierunku Elstery i wówczas dostaje kolejną kulę — tym razem w bok. Z trudnością dosiada ko-

normalna, żołnierska rzecz: śmierć. Nic więcej. Stosunkowo niedawno znakomity znawca broni i barwy, profesor i kustosz Muzeum Czartoryskich w Krakowie Zdzisław Żygulski opublikował pracę „Z ikonografii księcia Józefa — narodziny i wódzka mity bohatera”. Pracę otwiera proste stwierdzenie, że w międzynarodowej ikonografii ks. Józefa jego śmierć w nurtach Elstery stała się momentem kluczowym, najbardziej bowiem fascyno-

żołnierska śmierć nie wywołała tak dużego wstrząsu, urastając do rzędu aktów symbolicznych, przekraczających miarę czasu i miejsca — pisze prof. Żygulski. Malowane i rysowane setki razy. Albo jak? Tak, jak chciano, by wyglądała. OD FORUM ROMANUM DO BRZEGÓW ELSTERY... W Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie znajduje się

„Miasto bez metryki”

Zakładaliśmy się w spór na temat pisowni imienia księcia litewskiego Giedymina Helena Piliptuś usuwając przy tym na drugi plan istotę poruszanego od lat w różnych publikacjach — z takim samym miernym skutkiem — wątku na temat źródła rodowodu grodu na Białą. („GW” nr 46 z 5-6-7.03.br. „MIASTO BEZ METRYKI”). No cóż, rzecz można Rzym też miał swoją wiołczkę... albo Eneasa, co uwalnia nie zmienia faktu, że istnieje. Co gorsza, żeby się wykaraskać ze zwykłej niewiedzy (to było tak dawno) brnie w temat, który jak zresztą wynika z jej polemiki dawno przestał trapić zarówno historyków — badaczy owych przedźródłowych dziejów miasta, jak i językoznawców zajmujących się onegdaj etymologią jego nazwy.

A więc Giedymyn czy Gedymin był legendarnym założycielem Białegostoku? Sposób artykułowania (i pisanie) tego konkretnego imienia wyjaśnił ostatecznie sam profesor Szober — tudzież Taszycki, Jodłowski, Arcet etc., żeby wymienić tylko autorytety profesorskie — bez niedomówień opowiadając się za pisownią Giedymyn, co przynajmniej autorka w posłowiu do polemiki, ale uparcie broni swojego stanowiska.

Idąc tropem „umiędlonych i zardzewiałych” imiona, jak sobie życzy autorka, wymienione przez językoznawcę i etymologa jako wyjątki, przy tym nie dając odpór pani H.P. oznaczałoby, że od dziś zwycięzca spod Grunwaldu to... Jagello, Olgerd (np. Kolesnik) to... Olgierd, a kto wie czy z czasem w ten oto sposób dając upust pasji H.P. nie należałoby litewskiej Pogoni, tak trwale związanej z herbem miasta, przetransponować w... świętego Jerzego w walce ze smakiem.

Wiele lat temu wśród stert różnych papierzyś, starych czasopiś, w opuszczonym domu na Bojarach, którego mieszkańcy przenieśli się do nowego osiedla znalazłem książkę: bez początku i bez zakończenia; książkę z powyrzwanymi kartkami. Podniosłem ją, bo uwagę moją zwróciła czarno-biała, bogato ornamentowana rycina przedstawiająca park hełmański z widokiem na Pałac Branickich.

I ten fragment tekstu, który zachowałem w swoich anatach. Przycięto go, stanowił przyczynkę do dziejów miasta. Jest warty poznania. Jak sądzić z tego okresu wywodzą się korzenie tradycji przez tysiące Białegostoku owego Manchesteru Północy. A oto zachowany przeze mnie fragment większej całości:

„Miejnol romantyczne czasy potęgowały dawnej Rzeczypospolitej, a Białystok stał się jednym z licznych miast Rzeczypospolitej nowożytnej — miastem ważnym, bo przemysłowym i przedsiobczym, przyciągającym ku sobie drobny przemysł, chałupnictwo i surowiec z całego województwa. Przemysł w wielkim stylu zapoczątkował tu po upadku Powstania Listopadowego szczyński, zakładając fabrykę włókienniczą. Przykład jego podjął inny Polak — który podał za Narwę, w Suwasim i w Białymstoku rozpoczynając działalność fabryczną i budując zakłady włókiennicze, fabryki maszyn, narzędzi rolniczych, żelaza, przetworów drzewnych i garbarnię. W Rosji ciężyli się dużym poparciem także sukna, koca, „basyki” i obuwie białostockie, a towary te utorowały sobie drogę na rynki bałkańskie, chińskie, japońskie i północnoafrykańskie. Fabryki białostockie znacznie po ożyskaniu niepodległości zmierzwiły się, przedstawiając w pewnych dziedzinach produkcji tekstylnej ostatnie słowo techniki, zdobywając dla swoich wyrobów rynki na ziemiach dawnego zaboru niemieckiego i austrackiego, a niekiedy i amerykańskiego. W tym czasie w Białymstoku, korzystając z taniej pracy zdolnych i wprawnych chałupników, przemysł miejscowy utrwalił się swymi wyrobami jak koca i tkaniny w Anglii, Irlandii, Afryce Południowej, Indiach i Chinach. Mało tego. Nad Niemcem, nawet w Białymstoku, w środku Sudanu francuskiego, znalazł można towary białostockie, które nieznanymi drogami — aż tu przywędrowały! I konczy nieznanymi mi autor swój opis miasta jakby sprzed kilku miesięcy.

„Białystok — pełen ruchu, (...) Ulice i place roją się od wozów wieśniaczych, eleganckich aut i zakurzonych, zabłoconych samochodów ciężarowych — na jezdniach; na chodnikach — tłumy ludzi, jak gdyby ustawicznie mknących w pośpiechu. Życie i wymogi naszej epoki wycisnęły na wszystkim swoje piętno.”)

Tak widział gród nad Białą podróżnik sprzed dziesięcioleci, tyle pozostało z opisu miasta w zestrzępionej książce, z opuszczonego domu.

I drugi obraz zalegający pamięć starszego i średniego pokolenia białostoczian, tych z „korzeniami” zapuszczonymi w nie opisane w kronikach przeszłości i tych z zagłębionym planu 3-letniego, 6-letniego, których kolejne pokolenia następów opuszczają ławki szkolne, a lata odbudowy to dla nich zamierzcha już historia. Ten obraz tkwi w mojej pamięci.

Nieodwołany Ryszard Krasno — pisarz, dziennikarz, z dziadą pradziadą zakochany w mieście i jego historii, tak mówi o Białymstoku w jednej ze swoich licznych prac:

„Niewielu ludzi w naszym kraju zdaje sobie sprawę, że po Warszawie Białystok był miastem, które poniosło największe straty w czasie ostatniej wojny. Na miejscach masowych stracei — w Grabowie, Nowosiółkach, na Pietrach — i w obozach zagłady straciło życie blisko 80 tys. osób. Wiele mieszkańców zginęło w wyniku działań wojennych, gdyż miasto trzykrotnie znalazło się na linii frontu: we wrześniu 1939 r. w czerwcu 1941 r. i w lipcu 1944 r. Gdy w dniu 27 lipca 1944 r. Armia Czerwona wyzwoliła Białystok, liczba mieszkańców wahała się w granicach 46-47 tysięcy.

O wiele trudniej obliczyć straty materialne. Przemysł został zniszczony w 86 proc. (...) Ale owa „tróć,ocalanego” przemysłu, to głównie: komin, na które hitlerowcom żal było środków wybuchowych”)

Dwa fragmenty opisu miasta, dwie epoki w kształtowaniu jego dziejów. Obie stanowią historię dla całych pokoleń białostoczian, obie składają się na tradycję i współczesne oblicze miasta.

Niech to będzie moja cegielka, nie tyle w zrekonstruowanie dziejów miasta, ile w utrwaleniu jego najwęższej przeszłości, bez której trudno o zrozumienie teraźniejszości, a z którą łatwiej iść w przyszłość dokonanie prześlęgające wyobrażenia podróżnika — autora zniszczonej książki.

J. MAKOWIECKI

Fragment większej całości nie znanego autorowi artykułu pisarza.

Ryszard Krasno „Białystok”. Album. Wydawnictwo „Sport i Turystyka”.

OD REDAKCJI: A może nasi Czytelnicy potrafia wskazać autora cytowanego w tekście fragmentu książki oraz jej tytuł?

Miał siedemnaście lat, gdy po raz pierwszy pojechał do Berlina Zachodniego. Kupił tam „Gazetę Białostocką” z lipca 1965 r. Wcale nie taką starą, bo spóźnioną raptem o tydzień. Nie jest to dobry interes żędzić po własny, regionalny dziennik do Berlina, ale zobaczyć cały przekrój światowych tytułów, o, to już gratka. Przynajmniej dla niego — Józefa Szawca.

Niemiecki znał słabo, ale to nie przeszkodziło, gdy człowieka koci, żeby się dowiedzieć, ile dzienników ukazuje się na świecie i o czym się w nich pisze. Ta ciekawość narastała przez lata i z czasem przekształcała się w swoiste hobby.

Napisał do pana Jaworskiego w New Jersey, żeby jego agencja zechciała przysłać rocznik statystyczny UNESCO, a w nim wszystko o dziennikach. Na bieżąco studiuję „Zeszyty Prasoznawcze”, radziecki „Zurnal” i najlepiej ponoć redagowane: „Zeitungen Verlag” oraz „Neue Presse”. Jest częstym gościem Polskiej Akademii Nauk, szepiera po księgarniach, przesiaduje w czytelniach, odwiedza biblioteki, prowadzi korespondencję z dwustoma redakcjami i wieloma placówkami naukowymi. Czy wie już, jak i o czym się pisze na świecie?

— Oszacować, choćby z dużą tolerancją, jednorazowe nakłady dzienników światowych, jest mi bardzo trudno. Próbuje to robić w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców, ale cóż się dziwić, że mam kłopot. Nawet liczba 3900 tytułów (za dziennik uważa się gazetę, ukazującą się co najmniej trzy razy w tygodniu), też zapewne obarczona jest sporym błędem, bo sytuacja na rynku wydawniczym zmienia się z dnia na dzień. Poza tym oficjalne źródła w niektórych krajach publikują fałszywe informacje. Może delikatnie: informacje przestarzałe lub przesadzone. Sprawdzam to wielokrotnie i wiem, że nie na wszystkich statystykach można polegać.

Józef Szawiec nie jest poety, ale z obojętnością tekstami jakoś sobie poradził. Do tłumaczeń z angielskiego, niemieckiego i francuskiego wręgnął i rożnie. W hispańskim pomaga znajomy. — Bo nie wystarczy przejąć tytuły. Chciałoby się znać treść, wiarygodność informacji, rzetelność materiałów źródłowych. Gdy redakcja duńskiego „Politikena” przysłała obfity wybór egzemplarzy z kompletem dodatków i mutacji, mógł dopiero pokusić się o przekrojową opinię o piśmie: dziennik zbliżył do kół rządowych, bardzo wyważony, solidnie dokumentujący własne stanowisko w najważniejszych kwestiach itd.

Podobne opinie wysnuć mógł z lektury „Guardiana”, „Boston Sun”, „Los Angeles Timesa” czy australijskiego „Age”. — Tam nie pozwała sobie — uważa — na zamieszanie nie sprawdzonych informacji, albo na anonimowość źródeł (bo co to za źródło — koła dobrze poinformowane?). — Ale spotkać pan też masę redakcji, które odwalają zwyczajną chałturę, czarując czytelników sensacjami, byle nakład rósł i pęczniała kaba. Np. „Kurier Wiedeński” to taki nasz typowy eksprek w najgorszym wydaniu. Albo zachodniobierliński „Morgen Post”. — Przechwytyje szczytki wiadomości z radia i odrzewa to na swoich ta-

mach. Coś zupełnie przeciwnego niż „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, gdzie wszystko musi się trzymać kupy i czytelnik wie, że za dan autor nie wpusci go w maliny.

Szawiec zgromadził w domowych zbiorach około 2200 tytułów dzienników. Za granicę jeździ rzadko, więc uzupełnia kolekcję drogą korespondencyjną, albo przy pomocy znajomych. Kiedy ożkało się, że prywatne teckie napełniały i już w stadium tworzenia stanowią zaczęły ukazywać w świecie katalog, pan Józef zaczął przesyłać nad praktycznym wykorzystaniem swym hobby. — Nad publikowaniem opracowania, które w wąskim kręgu zainteresowanych dziennikarstwem, mogłoby stanowić cenne kompendium wiadomości. I to nie takich jak zagraniczne, gdzie znaleźć można najwyższy tytuł, miejsce wydawania pisma i nakład. Tym razem miały być materia bogatszy, uwzględniający założycieli, podstawowe daty, charakterystykę zespołu redakcyjnego, wskazujący jego mecenasów, wyjątkowe sukcesy itp.

— Profesor Walery Pisarek z Ośrodka Badań Prastarych w Krakowie, podszedł początkowo do pomysłu z rezerwą. — Czy pan chciałby się starać na studia dziennikarskie? Wyjaśniłem, że nie podobnego. Nie mam drygu do reporterii. W administracji, gdzie pracuję zawodowo, „piszę na baczność” i jestem od dawna zadowolony tym felerem.

Od słowa do słowa, od wizyty do wizyty, abstrakcyjny niegdyś zamysł nabierał zaciąg konkretnego wyrazu. Szawiec wziął się po kolei za dzienniki różnych krajów. Dziś ma dokładnie opisane Węgry, Jugosławie, Czechosłowację, Finlandię, Szwecję, Danię, Austrię, nie mówiąc już o Polsce.

Aktualnie pracuje nad dziennikami radzieckimi. Zostały mu do przygotowania materiały z dwóch republik. To, co gotowe, zajęło 163 strony rekola. Po wiadomości jeździ jak zwykły PAN bibliotek, księgarń, do Ośrodka Kultury Radzieckiej w Warszawie, do Studium Dziennikarskiego przy Uniwersytecie Warszawskim. Ponoć mu też Instytut Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Łomonosowa w Moskwie.

Cała Europa chce skończyć w tym roku. Później weźmie się za Afrykę. — Mam tam dobre kontakty — mówi, ale liczę się z kłopotami.

gustom i ideałom epoki, zwracającej szczególną uwagę na mit o „miłości małżeńskiej i ojcowskiej tragicznie przez śmierć przerwanej”.

Na niezliczonych sepiach pocztówek, rycin, w podręcznikach szkolnych, a nawet na opakowaniach cygar hawańskich występuje więc książę Pepi jako „pater familias” — kochający mąż i ojciec. Sceny szczęścia przy domowym ognisku, sceny pożegnania, sceny na których nieśczęśliwa żona i tulące się do jej nóg pachole otrzymują wiadomość o tragedii pod Lipskiem. A tymczasem...

Tymczasem gospodarz pałacu „Pod Blachą” nigdy legalnej żony nie posiadał. Oprócz długotrwałego, a niefortunnego związku z Henryką z Brabantów hrabiną Vauban, miał liczne romanse i kilku nieślubnych synów: Michała Michałowskiego, Józefa Chmielnickiego (z francuską Zelią) oraz Józefa Ponitkiewicza (z Zofią Czosnowską). Wszystkie testamentem hojnie wyposażał, no, ale to jeszcze nie mogło być natchnieniem marlarzy Owym natchnieniem była wyłączenie... moda!

LESZEK MAZAN



Gazetowe hobby

mi. Specyfika afrykańskich wydawnictw jest taka, że zmieniają się one jak w kalejdoskopie. Piszę do jednej redakcji, a tam w jej miejscu — już inna. Kiedyś chciałem opracować cały światowy zbiór dzienników.

Domowa biblioteka Józefa Szawca zdominowana jest przez prasę, tematyczne biuletyny i broszury; pięć kilkusetstronicowych tomów korespondencji, pakiet uporządkowanych segregatorów. Gdy potrzebne są przykładowe gazety maltańskie, wyciąga się teczkę „Europi” i tam bez większego trudu, znajdując gotowe wiadomości.

— Jak na tym rozległym podwórku prasowym ocenia pan naszą „Gazetę Współczesną”? — próbuję sprostować naszą rozmowę do mniej egzotycznej problematyki.

— Kształt i format wydają mi się prawidłowe, zbliżone nieco do skandynawskich. Nasze zdjęcia nie wytrzymują jednak konkurencji. Wiadę wyraźnie, że są „podszkrywane”, przesadnie reżyserowane. Jakość, niestety, kiepska, ale rozumiem, że nie mamy takich możliwości, choćby chemicznych, jak na Zachodzie.

Można mieć zastrzeżenia do wszechstronności dokumentowania publikacji. Dziennikarz musi być po trosze detektywem, docierać do różnych źródeł i skrajnych często interpretacji tego samego faktu. Po prostu trzeba iść za ciosem, a nie pozostawiać problem bez sygnału o jego rozstrzygnięciu. Poza tym nie rozumiem, skąd się u nas bierze zwyczaj anonimowości w prezentowaniu zespołu redakcyjnego. Z górą 60 proc. redakcji na świecie holduje zasadzie podawania w stopce dziennika przynajmniej ścisłego kierownictwa zespołu.

— Jeśli jeszcze czegoś mi w „GW” brakuje, to artykułów socjologicznych, tak często podejmujących problem rodziny w aspekcie poziomu życia, zainteresowań, kłopotów, a nawet kwestii wyznaniowych czy ideologicznych. Można ten temat kontynuować. Ja jednak usługę dać tylko próbę refleksji wywołanych pańskim pytaniem.

Zastrzegam przy tym, że są to moje prywatne opinie.

„Gazetowe hobby” Józefa Szawca przetrwało próbę czasu. Udokumentowało swą użyteczność. Na szerszą ocenę i przykłady wykorzystania jest jednak jeszcze nieco za wcześnie.

ANDRZEJ POLAKOWSKI

„POZYTYWNE ODBRĄZOWIENIE...”

I tu apologetę księcia pomagał sobie choć trochę pośrednio, starożytności. Archetypami ikonograficznymi odrzynieł większości najpopularniejszych scen „rodzinnych” księcia Pepi są wzorowane na ilustracjach do „Iliady”, które wyszły spod ręki angielskiego rysownika Roberta H. Cromeka.

Takie były narodziny legendy o śmierci księcia Józefa Poniatowskiego — jednej z najpopularniejszych postaci naszej historii. Czy należy te historie trochę odbrać? Ba, bez tego nigdy jej nie zrozumiemy i nie pokochamy. „Odbrać” nie musi przecież mieć pejoratywnego charakteru, służyć poznaniu losów narodu i jego bohaterów. Przybliżyć je nam, każde szanować w sposób mądry i prawdziwy.

Oby zechcieli to wreszcie zrozumieć autorzy zupełnie ostatnio „odczłowieczonych” naszych podręczników historii ożystej!

LESZEK MAZAN

Śladem naszych publikacji

„Być Uniwersyteciem”

Wnawianiu do wywiadu przeprowadzonego przez red. Ludmiłę Chalecką-Połocką z prof. dr hab. Jerzym Niemcem pt. „Być Uniwersyteciem” zamieszczam salę zaliczyć kilka uwag. Ideę powołania uniwersytetu w Białymstoku podjął jeszcze w 1956 roku adwokat z Białegostoku Stanisław Bućko, zmarły tragicznie w 1976 roku. W 1956 roku pożył na on do tej idej ówczesnego ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego prof. Henryka Jabłońskiego oraz Mieczysława Moczara. Wówczas to zrezygnowano z powołania uniwersytetu w Kielcach na rzecz bardziej realnej idei — utworzenia takiej uczelni w Białymstoku.

Na marginesie należałoby wyjaśnić, że Stanisław Bućko, urodzony w 1913 r. w Wigrach, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, w okresie okupacji kicował ruchem oporu na Augustowszczyźnie. Jako delegat rządu londyńskiego zgłosił akces do współpracy z władzą ludową i został przez nią mianowany pierwszym starostą augustowskim. Dwa jego rodzeni bracia — jako partyzanci — padli na polu walki, a on sam, po odwołaniu ze stanowiska starosty, pełnił odpowiedzialne funkcje w PKWN w Lublinie. Był też autorem historycznego artykułu w „Rzeczypospolitej”, organie PKWN, na temat jednoci narodowej. Ciepła choroba, jakiej się nabawił w okresie okupacji, spowodowała odwołanie go z władz naczelnych PPS. Stanisław Bućko był wybitnym filozofem i prawnikiem, o czym wiedzą pamiętający go koledzy adwokaci w Białymstoku. Niewątpliwie na czasie będzie przytoczenie jego argumentów, przemawiających za powołaniem Uniwersytetu w Białymstoku.

Białystok leży w centrum Europy, na historycznej linii ruchu narodów i kultur, stąd występująca na tym terenie mozaika ras i narodów, wyznań i kultur. W takim tygu ras, kultur i narodów rodzą się ludzie zdolni, a celem uniwersytetu jest ich wyłowić i wykształcić. Uniwersytecki Białystok może wnieść coś nowego do kultury europejskiej, będącej dziś już kulturą światową. Tylko uniwersytet z prawdziwego zdarzenia zdolny jest przekształcić ten rejon Europy w centrum kulturalne przyszłego tysiąclecia. Zdrowy klimat, harmonia kulturalna różnych grup etnicznych i tętniąca fizyczna ludów zamieszkujących te tereny predestynują Białystok na centrum kultury tej części Europy w nadciągającym nowym tysiącleciu. Bez uniwersytetu Białostocznina będzie w wieku prowincji, konsumująca importowaną do niej kulturę.

Uniwersytet to nie tylko kuźnia kształcenia kadr specjalistów różnych dziedzin, to przede wszystkim dobrodziejna i samorządna korporacja uczonych i uczących się, której wspólnym celem jest nauka, jej rozwój dla dobra całej ludzkości i dopiero w

tych kontekście specjalistyczne umiejętności. Uniwersytet otwarty na Wschód i Zachód jest twórcą kultury i jej propagatorem. Brak centrum kulturalnego jest stratą na miarę historii. Bez istnienia uniwersytetu nie można rozwijać nauki, można ją tylko lepiej, lub gorzej konsumować, kształcić lepszych lub gorszych nauczycieli, lekarzy, inżynierów, mniej lepszych lub gorzej teatr, lepszą lub gorszą prasę, w zależności od tego, czy w danym momencie bliśnie jakiś talent, czy nie.

Gdy gąśnie człowiek wybitny, gąśnie instytucja, której był duszą, gdyż epigoni, chociaż zdolni, okazują się nieudolni w prowadzeniu dzieła stworzonego przez wybitnego twórcę. Jest to los wszystkich instytucji naukowo-kulturalnych, nie mających oparcia w ognisku nauki, jakim może być tylko uniwersytet.

Czyż nieubłagana śmierć Jerzego Antonowicza, prof. Herbsta, Ryszarda Kraskiego i innych — nie stała się źródłem zastój różnych towarzystw naukowych? We współczesnych czasach nawet genialna jednostka, różnej specjalności, próbująca indywidualnie działać poza ogniskiem nauki — jakim jest uniwersytet — nie może wybitnego nie osiągnąć, a jej wysiłek naukowy, może być tylko złożony w półkowych bibliotecznych książkach, przeznaczonych dla smakoszy sensacji naukowych.

Pozostaje z szacunkiem

EDMUND KULOWSKI

Augustów

★

List pana Edmunda Kulowskiego z Augustowa przypominający postać mecenasa Stanisława Bućki, a także narodziny idei powołania uczelni uniwersyteckiej w naszym mieście przed 26 laty, spowodował mnie do zasięgnięcia szerszych informacji na ten temat w środowisku białostockich prawników. Podczas wstępnej rozmowy z dziekanem Rady Adwokackiej, mec. Ireneuszem Bolińskim dowiedziałam się, że zarówno mec. Bućko jak i inni miejscowi prawnicy bardzo często dyskutowali w przeszłości na temat potrzeby utworzenia uniwersytetu w Białymstoku podczas środowiskowych narad. Był więc to już wówczas intelektualny zaczyn, w konsekwencji którego po latach powołano Filię UW, a teraz rysuje się możliwość usamodzielnienia uczelni. O szczegółach owych dyskusji pobrać lat jak też cały problem — po zbraniu odpowiednich materiałów — będę informować Czytelników.

LUDMIŁA CHALECKA-POŁOCKA



NA ZDJĘCIU: (Z LEWEJ) portret Marii Konopnickiej, (Z PRAWYJ) książki autorstwa Marii Konopnickiej.



NA ZDJĘCIU: (GÓRA) zarnowiecki dworek zwnątr, (DÓŁ) gabinet Marii Konopnickiej.

Muzeum Marii Konopnickiej w Zarnowcu koło Krosna odwiedza każdego roku około 30 tys. osób.

W stylowym dworcu, gdzie w latach 1903—1910 mieszkała znana poetka, zgromadzono liczne po niej pamiątki. Znajdują się tu między innymi biurko, przy którym tworzyła, fotele, stół, kufer podróżny, używane przez nią makatki, portrety rodzinne i drobniutki codziennego użytku. Nie zabrakło też w zarnowieckim dworcu przeróżnych darów, przekazywanych Marii Konopnickiej przez robotników, rolników, młodzież, Polonię itp.

Dworek, który w roku 1902 wraz z parkiem wykupiło społeczeństwo polskie, aby przekazać go w darze poetce, położony jest w najpiękniejszej części wsi. Jest to parterowy budynek drewniany z przybudowaną piętrową częścią murywaną. Całość kryta jest gontem. Wokół odrestaurowanego pod koniec lat pięćdziesiątych dworca, rozciąga się wyjątkowej urody park ze starodrewnem grabów, topoli, lip i kaskadami a nawet modrzewi. Nic więc dziwnego, że o każdej porze roku pełno tu zwiedzających i wypoczywających turystów. (KB)

Zdjęcia CAF — ANDRZEJ ŁOKAJ

księcia Pepi...

zefa most — wysadzany w powietrze lub też w całości bardzo często znajduje się w bliskim mimu, że jest to ewidentna historyczna nieprawda.

Drugim źródłem inspiracji dla plastycznych apologetów księcia Pepi jest sławna historia śmierci Marka Kurcusa. Otóż, jak wiadomo z historii starożytnej, w roku 362 p.n.e. na Forum Romanum, zapewne na skutek trzęsienia ziemi, rozwarła się ziemia. Wieszczowie orzekli, że szczeni-

świeżo mianowany marszałek Francji, miał wołać „Bóg mi powierzył honor Polaków i jemu tylko go oddam!”

Nie, on tak nie wołał! Przyjmuje mu apokryficznie dosłownie do wymogów narodowej legendy słowa rzymskiego bohatera. Takim właśnie bohaterem chciano widzieć naszego księcia. A kiedy rozgorzał spór, jaki ma być jego pomnik — zdecydowano

„TAM ŻONA, TAM SYNEK W RAMIONACH JEJ PŁACZE...”

„Sama scena heroicznej śmierci księcia nie zadowalała widac publiczności europejskiej — pisze prof. Żygiński. Niebawem więc we Francji rozbudowano anegdotę, kreując Poniatowskiego na „polskiego Hektora” i dodając mu Andromachę. Odpowiadało to

TEATR DRAMATYCZNY

NORWID

Teatr Dramatyczny im. Al. Węgierki, pracujący od początku sezonu niemal bez wychylenia, wystawił już szóstą premierę. Gdyby rzecz ująć statystycznie (przy jeszcze jednej zaplanowanej na marzec premierze tj. „Poskromienie złośnicy” Szekspira) wychodziłoby, że w tym roku teatr ten miałby więcej premier niż w poprzednim. Tak się składa, że za każdym razem oglądaliśmy spektakle o różnym charakterze, stylu i coraz to nowszej reżyserii.

Szanse sprawdzenia swoich możliwości w tej dziedzinie otrzymał ostatnio Jerzy Siech. Ten znany aktor długim „próbował” z zespołami amatorskimi („Razowicz”, „Pro”), zanim zdecydował się na reżyserię w teatrze profesjonalnym. Ale skoro już to uczynił, od razu sięgnął po Norwida. Zrobił to tym chętniej, że utwory autora (Norwida) nie są często bywają w teatrze, zwłaszcza białostockim. Co więcej: reżyser sam dokonał układu tekstu do tego spektaklu z fragmentów różnych utworów Norwida oraz rzadko wystawianego jego jednoaktówki pt. „Noc tysiąca lat”. W ten sposób powstało przedstawienie pt. „To taki wiek”, bardzo osobiste, wymowne, naznaczone zafascynowaniem twórczością wielkiego romantyka. Oddzielne epizody połączone nie tyle ciągłością akcji co jednolitością tematyką doświadczenia, ale rozmyślnie zmontowany tekst służy wydobyciu na jaw zarówno filozoficznego podłoża utworu, jak też bliższych nam treści. Można więc tego Norwida, przemawiającego po-

etyckim, subtelnym szyfrem, odczytać bardzo współcześnie i aktualnie, chwytając różnorodne odcienie i sens poszczególnych wiersów, można też po prostu przyjąć jego wielką, filozoficzną, nieestetyczną, ponadczasową mądrość. Zatem jak zinterpretujemy płynące ze sceny strofy o kraju ojczystym, jego kulturze, obyczajach, o istocie i funkcji sztuki — zależy od indywidualnych predyspozycji widza, zwłaszcza, że i dziś percepcja



Scena zbiorowa z przedstawienia pt. „To taki wiek” w reżyserii Jerzego Siecha. Fot. Roman Sienko — CAF

jego utworów nie należy do najłatwiejszych.

Wysokie wymagania stawiane przed publicznością dotyczą także jednoaktówki pt. „Noc tysiąca lat”. Zwiększonego charakteru, a także bardzo charakterystyczne, stosowane w nim półsłowa i półtony — choć to wszystko okraszane ciętym dźwiękiem realistyczno-satyrycznym spojrzeniem — wymagają niewątpliwie napiętej uwagi. Mimo to nie sądzę, by ktoś mógł pozostać obojętny na bardzo swoisty i niezwykły styl autora oraz sposób w jaki ujmuje problem psychologiczny.

Metoda reżyserii, zaczerpnięta z wieloletnich doświadczeń wynikających ze współpracy z ruchem amatorskim, nie zaskoczyła najmniejszego z widzów. Wracając do utworu, wręcz przeciwnie, uczyniła zń rzecz jasną, precyzyjną i komunikatywną. Fakt ten zaistniał poprzez wyznaczenie odpowiednich

sytuacji dla poszczególnych odczytów ról oraz zaakcentowanie słów, gestów, całych obrazów.

Ow rapsoedyczny teatr Jerzego Siecha dał mi osobistą przyjemność odczytania na nowo umiejętności białostockich aktorów. Niby zawsze ci sami, ale widząc nabyły dojrzałość. Tym razem wybornie posługują się interpretowanymi przez siebie rolami, zwłaszcza Alicja Teatycka (dama podróży), Krzysztof Ziemiński (poeta) i Andrzej Karolak (Roger z Czarnolesia).

I jeszcze słów kilka o muzyce Chopina jako autentycznej oświecenia przeobrażenia przez reżysera scenicznej wizji. Utwory mistrza tonów, przepiękające się ze strofami autora Fortepian Szopena” to najsłodsze i najbardziej aluzja do wielkiej sztuki.

LUDEMILA CHALECKA-POŁOCKA

Dwugłos o giełdach książki

Ostry deficyt książki jest faktem. Bolesnym i smutnym, bo nie znosi się na radykalną poprawę w dającym się przewidzieć czasie. Limitując rozwiązanie problemu trudności papierowej i zaniedbanie rozwój, czyli — niedorozwój bazy poligraficznej. Tak więc na poprawę poczekać będziemy musieli parę lat. Na pociechę pozostaje nam — wielki głód książki, która — o paradoksy — dzięki polityce kulturalnej ludowego państwa stała się już dawno artykułem pierwszej potrzeby. W takiej więc sytuacji na ze wszystkich miar godną poparcia zasługę inicjatywa giełd bibliofilskich, w trakcie których można sprzedać, kupić, wymienić książki używane. Najwidoczniej jeden antykwaryat w mieście wielkości Białegostoku to za mało.

Publikujemy niżej dwugłos w sprawie lutowej giełdy, dwa materiały pisane z nieco różnych kątów widzenia. Chcemy wierzyć, że krytyczne uwagi służą nie tylko do poprawy, ale wskazują ich inicjatorom i organizatorom na mankamenty, które warto usunąć. A swoją drogą aż się prosi, aby na takie giełdy można było wchodzić w każdą niedzielę. Wówczas, być może, pewne niezbyt jasne strony handlu książkami nabrałyby innych odcieni, a przy zwiększonych obrotach i paskarskie ceny zmieniłyby się, no powiedzmy, na przyswoite.

I na zakończenie tych paru słów wstępu uwaga pro domo sua. Otoż od dłuższego czasu, a ściślej rzecz biorąc

od „początku książkowego kryzysu” otrzymujemy telefonów od czytelników z pretensjami, że pozycji opisywanych przez nas w rubryce „Książki niedostępne” nie można znaleźć w sprzedaży. Powtarzamy więc raz jeszcze: nie mamy na to wpływu. Tak zwane sygnały egzemplarzy otrzymujemy często dużo później, niż księgarstwo. Czy to oznacza, że nie powinno się informować o tym, co jest (lub chociażby przez kilka godzin było) na rynku księgarskim? Naszym zdaniem — nie. Trzeba po prostu traktować tę rubrykę nie jako reklamę — tej obecnie książka nie wymaga — tylko jako informację, że ten i ten tytuł można znaleźć. Jeśli już nie w księgarni to przynajmniej w bibliotece. Prawda?

Przeżyjmy to jeszcze raz

Ileż się sięgam do lektur swojego dzieciństwa, tyle razy ożywiałą one ów zakątek mojego miasta na skraju Siennego Rynku przy ul. Pięknej. W tym miejscu, na wprost sklepiku ze złotymi rybkami i oranżerią na chodniku obok sianych sprzedawców pobielanych, pateli rozkładających, odparaną walizę pełną światła przyszedł z wystrojenymi kartkami książek Bateria, Nosielskiego, Verne'a starszy człowiek. Za dwa, trzy, pięć złotych (bo towar wielokrotnie używany) lub na wymiar odkrywał małym ciętym bezkresne perle, dudniące echem tam-tamów dżungli Czarnego Lądu, pampasy antypodów. Był sprzedawcą, bibliotekarzem (co masz na zastaw?), życzyliwnym doradcą małych i dużych czytelników.

To później Pawła Korczagin, Zofia Kosmodemińska, bezgłowy lotnik Mierosławski, a także Człowiek i Hek wzięli w pacht moją wyobraźnię.

Wiedziący pragnieniem — przeżyjmy to jeszcze raz — trafiliśmy w lutym na giełdę jidibnifilską zorganizowaną przez Miejski Dom Kultury w salach Oddziału Historycznego Muzeum Okręgowego przy ul. Warszawskiej. Dlaczego do Muzeum? Otoż miały tu być wyceniane, sprzedawane i coś tam jeszcze stare książki, jako impreza towarzysząca ekspozycji pn. „Lektury pradziadów”; i drugiej: „Klasa robotnicza w dziełach sztuki”. Pierwszą z wystaw obejrzałem z zadręśnięciem złośliwym — sam nie zje i komu nie da — („nie dotykać eksponatów”), na drugą zerknąłem z szacunkiem, ale

bez przesady (refleks robotniczego rodowodu).

Sama giełda zapewne przekroczyła nawet najboźniejsze intencje muzealnych, nie mówię o organizatorze, to jest Miejskim Domu Kultury, bo ci powinni być już mieć pełne rozeznanie, co do celów przyswycielających większości obecnych, oferujących książki do sprzedaży. Teraz — stłumić emocje choleeryka, niech grzmiały fakty! A więc kryminały obok produkcyjniaków, ściągnięte babcom spod poduchy modlitewniki na przemian z pojedynczymi egzemplarzami „Bravola”. Ceny jak na „chytym” rynku w czwartek z czasów jego przedgrudniowej świetności. I tak na przykład kolejne wydanie opisanego już przed czterdzięci laty „Popiołu i diamentu” Andrzeja Kosińskiego — 200 zł, „Huragan” Gasińskiego — 1200 zł, „Opowieści biblijne” Kosińskiego, tyle że ładnie ilustrowane wydanie — 2 tys. zł. Hurtownik okupujący cały stół włożył nie tylko katalogi monet polskich, wale modlitewników, biblię w przekładzie Wujka, ale również wprost z księgarń, dwutomowy słownik angielskiego, Pieniądze nie interesowały go. — Wymienię za przedwojenne monety srebrne, mogą być nawet polskie! (I). Ceny na tym stole od 400 do 16 tys. zł (przedwojenne wydanie encyklopedia od A do Z). Było jeszcze trochę lektur szkolnych („Za chlebem”, „Latarnia”), i wiele, bardzo wiele zwykłych knołów czytelników nie wiedzieć czemu sąsiadujących przez ścianę (vide: ekspozycja) z szacownymi lekturami naszych dziadków.

Były jeszcze panie talasorki (pardon, ale jestem rozczony), które miały wyceniać książki. Kłnę się na Guten-

berga, że nie próbowały jako fachowcy podpowiedzieć dyrektorowi Saniewskiej, że nie godzi się sąsiedztwo „Kapitana Sowy na tropie” z księgozbiorem np. Glogera.

Przed organizowaniem takich giełd bibliofilskich gdzie prym wiodą handlarze, trzeba się bronić, bo żaden sztyl, nawet najbardziej szacownego Muzeum nie przeobrazi zwykłego paszeczka w bibliofilę.

Czytam sporo, czytałbym jeszcze więcej, ale na moją statystyczną głowę w tym roku przypada siedem książek.

I marca odbyło się posiedzenie Rady Nadzorczej Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej. Postanowiono w tym roku zwiększyć produkcję książek o 25 proc. Zachowane zostaną priorytety wydawnicze w dziedzinie lektur szkolnych, klasyki literackiej, najwartościowszych utworów literatury współczesnej oraz literatury społeczno-politycznej. Tak więc mój pracodawca odwołał się do pięknej tradycji sprzed 30-lecia, kiedy sprawował autorytarny patronat nad upowszechnianiem czytelnictwa w kraju, a każdy kłosek „Ruchu” oferował do wyboru tanią książkę, codziennie, nie tylko z okazji majowych Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy.

I chociaż żał, że stary sprzedawca książek zniknął z pejzażu miasta, to jednak wiem, że kiedyś książkę starczy dla wszystkich, przyjaciele, czytelnika zostanie wykwalifikowany księgarz, zaś giełdy będą funkcjonowały jako miejsce wymiany inkunabułów lub wspomnianie dla starszych panów o lekturach ich młodości.

J. MAKOWIECKI

Kto co z tego ma?

Nie wszystkie stoly uginają się pod książkami. Wokół nich stoczeni kupujący. Trwa okazywana wyprzedaż na temat cen. Kilkunastobitowe grupki przemieniają się w grupy: na schody wiodące do sal wystawowych wlewa się tłum (później skrupulatnie oceniony na 1,5 tys. osób). Wszyscy w pogoni za książką.

Aby mieć jasny obraz sytuacji zaczęliśmy od danych: „Krzyżaków” oferowano za 500 zł, „W pustyni i w puszczy” — za 300 zł, książki typu science fiction (wydanie kieszonkowe) — od 150 do 200 zł, kryminały za 100—150 zł, „Słownik podręczny angielsko-polski” kosztował na giełdzie 1300 zł, dwa tomy słownika angielsko-polskiego — 4000 zł. Rewelacją giełdy „Encyklopedia powszechna dla wszystkich” znanej przedwojennej firmy Trzaska, Evert, Michalski — oferowano za 16.000 zł.

A teraz popyt. Książki science-fiction i kryminały zostały kupione po pewnych targach z zastosowaniem kilku procentowego rabatu. „Dolinę Issy” Miłosza wymieniono na „Faraona” B. Prusa. Beletystyka w cenie 200—300 zł za pozycję, szła jak woda. Typowy obrazek: korpulentna pani w starszym wieku otwiera dużą torbę, takując wrokiem czy to, co znajduje się na stole, zmieszając się do jej wnętrza, po czym ładując kilkanaście książek placąc bez zmużenia cka kilkutygodniowy rachunek. Dwie panienki opowiadają przed nimi książkę, a za chwilę zadowolony kupiec wydaje drobne z banknotu, na którym groźna miną robią nasi pierwsi wladcy. Nabywcę, oczywiście znalazł także Sienkiewicza („Szkoła, że ma pan tylko jeden egzemplarz”). Za to z zupełnym brakiem szacunku zostały potraktowane słowniki angielsko-polskie (za drogie!!!).

W tym miejscu muszę powiedzieć o bogato zaopatrzonym stoisku Muzeum Okręgowego. Klienci obiegali go głośno się dziwiąc, iż ceny sprzedaży były równe cenom nominalnym. To się nazywa dostosowanie do sytuacji! Katałogi i inne wydawnictwa muzealne kupowano bardzo chętnie, zwłaszcza dla milusińskich, traktując zakup jako inwestycję w wiedzę.

Warto wspomnieć o obojętności wobec „Encyklopedii” Trzaski, gdyż dać mi to możliwość powiedzenia paru zdań na temat pozycji tzw. antykarycznych. Organizatorzy giełdy zaproponowali aukcję starych książek. Wbrew obawom i zażenowaniu biologicznych udział w imprezie, aukcja odbyła się. W jednym przypadku oferenci kilkakrotnie podbijali cenę, by w końcu przelicytować przeciwnika. Jak przyjemnie było słuchać w domu byłego fabrykanta: „150 po raz drugi... po raz trzeci... sprzedane”. W ten sposób zdraźdźcem już jedną z cen jakie pady na tej aukcji. Inne również nie odbiegały poziomem od powyższych. Tak np. „Walec Johanna Straussa” z początku naszego wieku, a także inne nuty z tego okresu, osiągnęły „zawrotną” sumę 200 zł. „Zbiór reprodukcji malarstwa” z okresu przedwojennego — 100 zł, doskonały „Historyczny szkolny atlas świata” Pötzgera z 1916 r. — 500 zł (sic!).

Najwyższy czas przejść do konkluzji. Wnioski znajdziemy na ladach naszych księgarń, gdzie niemal każdego dnia dostarczane są książki z charakterystyczną czarną belezką zakrywającą wstydliwie dawną cenę. Bestsellerem lutego stał się niewielki album „Muzea Krakowa” o równie atrakcyjnej, jak wnętrze książki, cenie 1100 zł. Pomyślmy, w tym samym Czytelniku o bazarowym „bukinieście”, który być może za miesiąc będzie pluł sobie w brodę, że prawie za darmo oddał „Krzyżaków” czy o radości starszej pani wilgotnym okiem patrzącej na wzniosły zachylających się dziełami Zbyszka z Bogdanica i sławą oręza polskiego. Pomyśl też o pustym miejscu na ladzie, które czeka na znane wszystkim — poza wydawcami? — tytuły książek.

Aż korci, by wywodzić ten kontynuować zadając pytania natury ogólniejszej, jak to: kto bieglejszy w ekonomii, kto lepiej zna rynek... Ale to temat inna opowieść.

Powodzenia na najbliższej bibliofilskiej (?) giełdzie.

RYSZARD ŚWIERCZ

EKSPOZYCJA

Czym skorupka, czego się Jas... — to tylko te najbardziej zużyte porzekadła, których stopień zużycia zdaje się być wyrazem troski dorosłej części społeczeństwa o edukację dzieci. Jest to w końcu troska o stan umysłowy pokolenia wstępującego w życie, a w konsekwencji — o kształt kultury narodowej, o jakość przyszłej egzystencji. Nie zatem dziwnego, że krzątająca dorosłych wokół przysłowiowej skorupki należy do działań o wysokiej randze społecznej, a próby jej nasaczenia podejmują nie tylko zawodowi pedagodzy, nad którymi ciąży przekleństwo — abyś cudze dzieci uczył, ale także działacze różnych kręgów i kalibrów, politycy i artyści, docenci i przedszkolanki, teoretycy i praktycy.

skiego Biennale Sztuki dla Dziecka, że nie może nawet porządnie dokumentacji, a pierwszym katalogiem wystawy wydrukowanym w języku polskim jest właśnie katalog białostocki. Twórcą wystawy Henryk Gajewski powiada, że wystawa, początkowo obojętne firmowana przez wielu oficjalnych mecenasów, stała się jego prywatną sprawą czego autor ani się spodziewał ani nie chciał.

Prace ekspozycyjne w galerii „Znak” — a jest to tylko część, wprawdzie nieciekawcza, ale ciekawa kolekcja — prezentują bardzo różnorodny sposób myślenia projektantów, różne metody, sposoby i różne skutki prób stworzenia innej książki dla dziecka. Są tu książki ze szmatek i ze sztucznych tworzyw, książki nadmuchiwane, „niedokończony” książki — kleszenie pełne najrozmaitszych drobniactw, książki-rzeźby, książki wydające dźwięk, niezwykle

rowe karty z wyciętymi figurkami, które tworzą własne takie „podreżniki” do nauki o kształtach i barwach. Również książeczka o podstawach stereometrii dla przedszkolaków (z nadmuchiwany bryłami) jest projektem Meksykanki. Ciekawa jest zapinana na guziki i suwak książka Dezidera Toth z Czechosłowacji. Ogromnie zainteresowanie zwiędziały — to zarówno dorośli jak i dzieci byli zżodni — budzi książka do macania Rimmy i Walerego Gerlwinów ze Związku Radzieckiego pt. „Przedmioty z planety Z-9x”. Jest to pas kwiecistej tkaniny, w którym zaszyto różne drobne przedmioty, pozostawiane przez małego „czytelnika” do odkrycia. Entuzjastycznym budzi projekt Mogensa Ottona Nilsena z Danii — raj kamyków, piórek, sznurków i muszelek. Również „Czerwona księga” Eugenio Balcassa z Hiszpanii składająca się z przezroczystych kopert foliowych, w które włożono balonik, liźak, kłobuszek wólczy itp., a wszystkie w czerwonym kolorze, jako elementarza do nauki koloru sąsiadujące na więcej czołochi ze strony polskiego wydawcy, a to ze względu i na walor estetyczno-poznawczy, i ze względu na łatwość wykonania.

Z innej grupy projektów należałoby choćby wymienić projekt Ewy Żelazniak „Kwadraty”, także oparty na starych systemach gier liczbowych pomysłu Juana Luisa Diaza, oraz propozycję z jeszcze innych kategorii takie jak książka — albumik małej Elizy Gajewskiej, ilustrowany alfabetem Lindy Leman, „Aanatomie” Geofregra Hendrikasa, „Who are you?” Nikity Aleksiejewa czy „The pinx box” Eriela Veld.

Na zakończenie warto również podkreślić, że powodzenie „Innej książki dla dziecka” to także sukces wystawy problemowej, dawno w białostockim wystawiennictwie oczekiwanej. To już nie jest tylko pokaz sztuki, to organizatorom o coś idzie, czegoś dowodzą, o coś walczą. Inna sprawa, że dość bezskutecznie.

ANDRZEJ KOZIARA

Inna książka dla małego łapończyka

cie dzieło, ale że dzieło się po-
ważnie, to znaczy i na piśmie
twórczości i na parterze użycia.

Po prezentacji w kraju, wystawa pojechała za granicę. Zaoszczędzić czytelnikowi cytatu z prasy amerykańskiej, holenderskiej, hiszpańskiej, japońskiej, meksykańskiej, niemieckiej i włoskiej, bo właśnie minęły cztery lata od pierwszego wernisażu w kraju, a żaden z wielokrotnie opisywanych i chwanych projektów z „Innej” nie został zrealizowany. Najwidoczniej „Inna” jest zbyt inna i na powielenie któregoś z pomysłów trzeba będzie jeszcze poczekać. Na otwarcie ekspozycji w białostockiej galerii „Znak” pokazano nawet telewizyjne filmy — trochę w charakterze alibi, a trochę z rozgoryczenia — na których utrwalono spotkanie z wydawcami, z których do studiu przybył jeden, i to wcale nie z „Naszej Księgarni”. Na spotkaniu ujawniła się groteskowość sytuacji, gdy reprezentanci „Innej” mówili o potrzebie społecznej, a wydawca, bardzo zresztą elokwentny, o kleju, sznurku i tekturze. Był też film o pięciu odważnych rzemieślnikach, którzy chcieli by niektóre propozycje np. projekt książki z kolorowych szmatek zrealizować. Okazało się jednak, że jak oświadczyła jedna z odważnych rzemieślniczek — galganków mamy od groma, w przeciwnieństwie do osób, czy instytucji, które chciałyby te roboty rzemieślnikom zlecić. Przecież książkę drukować, czy robić się nie będzie. Chodzą słuchy, że sprawa interesująca się Japończyka.

Ciekawe, że „Inna” w Polsce nie trafiła do programu poznawania elementarza, książki — tajemnicy i zabawy. W zdecydowanej większości widak tu chce odejść od pojęcia książki jako przedmiotu z okładkami, na którego kartkach przy pomocy słów i ilustracji utrwalono jakiś historię, opowiadanie, czy bajkę, choć nie brak tu i tradycyjnych pomysłów, podanych w formie bardziej atrakcyjnej. Nie sposób też oprzeć się wrażeniu, że niektóre z pomysłów już gdzieś były, że kilka propozycji szokujących w kontekście książki, nie do dzisiaj zaleca dziełca psychologia i pedagogika jako zabawkę uczące wyobraźni, jako przedmiot pozwalający dziecku lepiej poznać otaczającą je rzeczywistość.

Do najciekawszych ekspozycyj w wystawie trzeba zaliczyć projekt meksykańskiego rzemieślnika Sebastiana, którego wartość dydaktyczną polega na uczeniu rozpoznawania prostych form geometrycznych i rozwijaniu wrażliwości na kolor. Sebastiano zaprojektował rodzaj kodeksu, którego kolo-

LEKTURA

Nadbużańskie Podlasie

Seria przewodników traktujących o naszym regionie powiększyła się w ostatnim czasie o jeszcze jedną interesującą pozycję. Dotyczy ona regionu nadbużańskiego, nieznajemy go z Mielnika, Drohiczy i Ciechanowa. Mniej zainteresowania poświęcaliśmy obszarom znajdującym się na lewym brzegu Buga.

Tego rodzaju podział, ukształtowany niejako tradycją, zawie-

mi krajoznawczymi, zapewniły spore możliwości rekreacji i wypoczynku. Penetracja regionu nadbużańskiego odbywała się zazwyczaj z granicach podziału administracyjnego, ograniczając się do Mielnika, Drohiczy i Ciechanowa. Mniej zainteresowania poświęcaliśmy obszarom znajdującym się na lewym brzegu Buga.

W 1983 r., chociaż rzecz jasna nosi zupełnie inny charakter. Nowatorstwo recenzowanego opracowania nie polega wyłącznie na wykorzystaniu nazwy regionu. Słank wodny środkowego Bugu potraktowany został całkowicie marginesowo, gdyż autor poświęcił mu jedynie jedną stronę tekstu. Nie odgrywa także dominującej roli szlak pieszy, których opisy zajmują dalszych pięć stron. Pozostałe 48 stron poświęcone są gawkom informacjom o położeniu omawianego terenu, nazwie regionu, rzemień, wodach, klimacie, roślinności i zwierzętach rezerwatów i pomników przyrody, ludności i osadnictwa. Jest także krótki rys dzieł, rys etnograficzny, kilka zdań na temat kultury, gospodarki i walorów wypoczynkowych.

Część szczegółowa zawiera „ABC” 82 miejscowości. W od-

niesieniu do niektórych spośród nich brak jest podstawowych danych np. przy wjeździe do regionu nie podał daty jego założenia, nie wyjaśnił pochodzenia nazwy, serwilacji w zamian „rewelacyjną” informację o możliwości opowiadania przed lodziami położonym na przeciwnym brzegu Niemrowa. W szczególności tego rodzaju „pożyczeń” nie jest wiele, rekompensuje je autor doboru na ogół wykorzystaniem dostępnej literatury dotyczącej opisywanego terenu. Nie wskazuje jednak tej literatury w wykazie — jakże skromnym — na końcu opracowania — a szkoda! Czyżby w ten sposób autor zamierzał odstraszyć czytelnika od odkrycia dorobku swoich poprzedników?

Jedną z najciekawszych zalet przewodnika kryje się w umiejętnym wykorzystaniu legend, a także przytoczeniu najbardziej trafnych wypowiedzi — charakterystycznych poszczególne miejscowości — pochodzących np.

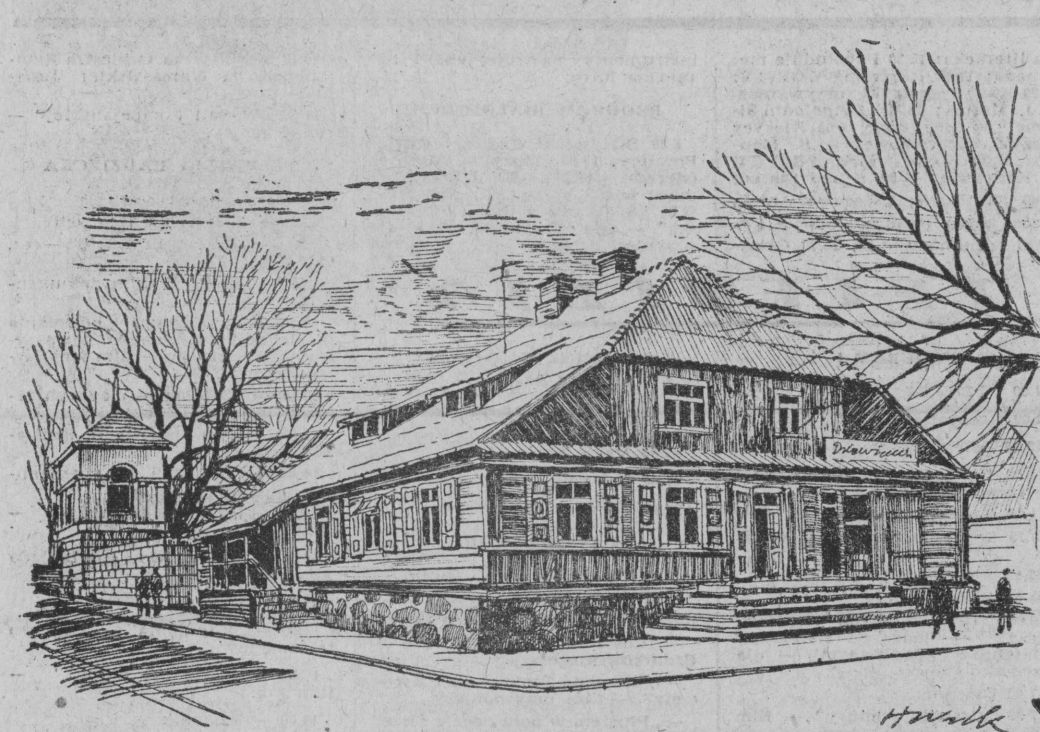
od Z. Glogera, L. Siemińskiego i innych. Autor zdobył się również na anegdoty i przysłowia — wszystko w wielkim skrócie!

Najbardziej zaskakujące są zdjęcia (J. Podziwskiego i M. Gódzalskiego) oraz szkice. Nie tylko są interesujące lecz także cechuje je stosunkowo dobry poziom techniczny. W przewodniku nie spotyka się — tak częstych niedkid — błędów drukarskich.

W sumie otrzymaliśmy przewodnik w pełni udaty a każde-mu z miliońców naszego regionu jego lektura dostarczy sporo interesujących wiadomości.

WALDEMAR MONKIEWICZ

(S. Stolarczyk, „Nadbużańskie Podlasie” Białystok 1981, nakład 15.000 egzemplarzy).



Budynek starej karczmy z XVIII-XIX wieku w Bielsku Podlaskim. Niestety, nie zachował się charakterystyczny tym budowlom podcień.

ry decydowała piśń, szła i „dobra kompania”.

Niemniej jednak jeżeli szlachcic biesiadował z chłopami i od nich zdarzyło mu się oberwać, to nie miał prawa dochodzić satysfakcji sądowej.

Nieodłącznym symbolem karczmy była wiecha zatknięta na stojącym przy wejściu lub na dachu dachu. Oznaczało to, że w karczmie aktualnie jest w sprzedaży miód i piwo, a w XV wieku przybyła gorzałka. Stąd starodawne powiedzenie „iść pod wiechę” oznaczało pójść do karczmy.

Karczmy polskie, zwłaszcza na Podlasiu, budowane były według dwóch zasad w zależności od położenia i możliwości właścicieli. Przez środek jednych, na przestrzał prowadziła brama do obszernej stajni zwanej „stanem”, przystawionej do karczmy. W innych, uboższych, „stan” był po prostu przedłużeniem karczmy, a wjazd znajdował się w szczycie. Każda karczma obowiązkowo musiała mieć podcień, zwykle z pięknymi zdobionymi słupami i wspornikami, przypominającymi arkady. Pozostało nawet „wiazane” z tym wymownie przysłowie: „Karczma bez podcienia — człowiek bez sumienia”.

Karczom nadawano często aluzyjne nazwy jak: Wygoda, Uciecha, Rozkosz, Na Wesoła, Piekielek, Łapigrosz, Łapiguz, Utrata, Pokrzyk. Sporo też karczom na Podlasiu nosiło nazwę „Rzym”, z których podobno jedna została utracona w wierszu Adama Mickiewicza „Pani Twardowska”. A że karczom to też nazwie było niegdyś na Litwie i w Koronie sporo, nie też dziwnego że w legendach ludowych określa się wiele miejsc, gdzie według Mickiewicza miał być porwany Twardowski. Miała to być ponoć wieś Mystki-Rzym koło Wysokiego Mazowieckiego, której drugi człon nazwy istotnie wywodzi się od istniejącej tu niegdyś karczmy.

Prawdziwych karczem już nie ma, a dzisiejsze gospody GS i zakłady mające nawiązywać do tradycji działają, niestety, na innych niż dawniej statutach i inne w nich zwyczajnie, poza oczywiście sprzedażą truneków i awanturami. Ale o tych gospodach legend nie będzie. Chyba, że tylko opowieści, o stosowanych w nich legendarnych cenach.

Tekst i rysunek HENRYK WILK

Z różnych stron świata

Pistolet Lindbergha najdroższy

Orzeka nowojorskiej aukcji broni, która należała do słynnych ludzi, był pistolet legendarnego bohatera westernu Bufalo Billa, Pistolet Ernesta Hemingwaya sprzedano za 4700 dolarów. Najwyższą cenę uzyskał jednak pistolet słynnego lotnika Charlesa Lindbergha. Kupił on ten pistolet po porwaniu i zamordowaniu jego syna. Zapłacono za niego na aukcji 19 tys. dolarów.

Jeleni w centrum miasta

Kierowcy samochodów jadąc przez centrum włoskiej Bolonii nie chcieli wjeżdżać własnym odczmem. Po głównej arterii wielkiego miasta spacerował majestatycznie ogromny jeleni. Okazało się, że uciekli on z oddlego 20 km prywatnego ogrodu zoologicznego. Po narogodzinny polowaniu udało się w końcu zwierzę ogłuszyć i odstawić do wiciela.

Niepradopodobne szczęście

Niebywałe wprost szczęście miała Christa Mueller z Karlsruhe (RFN). Zaczęło się od tego, że zaproponowany przez nią slogan zdobył pierwszą nagrodę w konkursie, ogłoszonym przez jej rodzinne miasto. Wygrała małodrożyowy samochód. W dwa tygodnie później wygrała 200 l. piwa, gdyż rozważała zagadkę, premiowaną przez browar. Następnie wygrane syny były już iasnowane: bezplatne bilety na samolot, telewizor, kosmetyki, roczny abonament na spismo, ilustrowane. Ponadto grając na pewnej loterii fantowej wygrała 8 sześciolichw losów na 10 kupionych i otrzymała różne przedmioty, wartości kilkudziesięciu tysięcy marek. Prasa nazwała ją „królową wygranych”. Gdy zapytano o cenną zawdzięcza takie szczęście, odpowiedziała, że nie ma polecia. Właśnie jedno, że wygrane niesłychanie ułatwiają jej życie.

Młoda para

59-letnia Angielka Winifred Clark, posługująca 81-letniego wdowca Alberta Smitha. Państwo młodzi poznali się w domu spokojnej starości, w miejscowości Danaster. (M.M.)

Często mówimy o laboratorium filatelisty. Co to takiego? Laboratorium to zestaw podstawowych przyborów, którymi prawie na co dzień posługuje się zbieracz znaczków pocztowych. Należą do nich m.in. pinceta, lupa, zabkomierz, lampa kwarcowa, miseczki do odklejania znaczków z wycinoków i wykrywania znaków wodnych, gilotynka i nożyk do cięcia hawidów, linijki z odpowiednimi podziałkami, a także hawidy, podlepki, katalogi, cenniki, albumy, zeszyty i wkładniki.

Przed wszystkim każdy filatelista powinien zaopatrzyć się w lupę. Jest to szkło powiększające, najczęściej 5-12-krotnie. Lupa



NA ZDJĘCIU: Sławni ludzie, w tym J. W. Goethe i A. Dumas na znaczkach Liechtensteinu.



NA ZDJĘCIU: Sławni ludzie, w tym J. W. Goethe i A. Dumas na znaczkach Liechtensteinu.

Pinceta, lupa, zabkomierz...

pozwala zbieraczowi dostrzec wszystkie, najdrobniejsze szczegóły znaczka: odmiany, usterek i uszkodzenia. Dobrze jest mieć w swym laboratorium lupę z odpowiednim urządzeniem podświetlającym.

Niemniej ważnym, a może i ważniejszym przyborem jest pinceta — metalowa lub z tworzywa sztucznego. Służą ona do chwytania oraz wkładania i wyjmowania znaczków do wkładnika lub albumu. Należy uważać, aby jej szpiłczona i zaokrąglona końcówka ściśle i równomiernie przylegała do znaczka. W przeciwnym przypadku można go uszkodzić.

Trzeci podstawowy przybór w laboratorium filatelisty to zabkomierz. Jest to specjalna miarka, wykonana z metalu, szkła, kartonu lub tworzywa sztucznego. Służąca do określania ilości znaczków na znaczku. Zabko-

mierze najczęściej zaopatrzone są w podziałkę od 8 do 15, niekiedy z dokładnością do 1/4 zabka. Posługiwanie się tym przyborem jest dość łatwe, ale wymaga pewnej wprawy.

Lampa kwarcowa służy do wykrywania i badania za pomocą promieniowania różnorodnych odcieni barw, odmian papieru, rysunków, nadruków, usterek i uszkodzeń, reperacji i fałszerstw znaczków i innych walorów filatelistycznych. Jest ona konieczna w laboratorium filatelisty-badacza, szczególnie tworzącego zbiór specjalizowany lub badawczy.

Gilotynka i nożyk służą do obcinania hawidów. Do nożyka potrzebna jest specjalna linijka z podziałką, najlepiej przezroczysta — szklana.

Miseczki służą do odklejania znaczków z wycinoków oraz wywabiania tych znaczków wodnych, których nie

można zobaczyć gołym okiem. Jeśli do tego celu używamy benzyny, należy uważać, aby nie uszkodzić znaczków drukowanych na papierze kredowym, bądź też farbą rozpuszczalną w benzynie.

Hawidy to uchwyty wykonane z przezroczystej folii. Służą do przechowywania znaczków w klaserach i na kartach wystawowych. Podlepki natomiast przeznaczane są do przyklejania znaczków w albumach i zeszytach.

Albumy i klasery służą do przechowywania znaczków. W klaserach (wkładnicach) należy uważać, aby paski z folii były prawidłowo napięte i równomiernie rozmieszczone na kartkach. Unikać należy kart szpachnych.

Katalogi i cenniki poświęcimy osobne miejsce w naszym kąciu KOLEKCJONER



Prawdziwych karczem już nie ma

Zdecydowana większość zabytków, które przetrwały do dziś, to obiekty architektury reprezentacyjnej — kościoły, pałace, zamki i klasztory. Natomiast architektura mniej ambitna, budowana przez ludowych majstrów dla codziennego użytku zwykłych ludzi prawie już nie istnieje. Wszędzie taką architekturę robiono z materiałów nietrwałych. Jej życie nie było obliczone na wieki. Nic też dziwnego, że po niektórych dawniej dość popularnych obiektach niewiele lub w ogóle nie pozostało śladu, jak choćby po karczmach.

Tymczasem obraz każdego, na przykład średniowiecznego osiedla, będącego siedzibą parafii składał się nie tylko z potężnej bryły gotyckiego kościoła górującego nad stocznią wokół niej grupą domostw, ale również nieodłącznie z... karczmą.

W czasie bowiem, gdy świąt kościołów była w kraju

rzadka, dla ludności przybywającej na uroczystości świąteczne nie raz z bardzo daleka budowano w pobliżu świątyni obszerne gospody, w których można było znaleźć gościnny dach nad głową i popas dla koni. Sami więc zwierzchnicy kościelni zainteresowani byli budową karczmy. Były to również miejscowe ludności, zwłaszcza biesiad weselnych, ale odbywały się tutaj również inne obrzędy i zgromadzenia. Znaną jest dokument pochodzący z XIII wieku, w którym biskupi zakazywali, aby siedzowie duchowni, zwłaszcza miejscy dziekani nie odprawiali w gospodach sądownictwa i nie brali udziału w zawieraniu tam małżeństw. Zakaz ten odstąpiła więc odbywające się wówczas w tych miejscach praktyki.

Karczmy miały swój określony status i były chronione prawem. Kazimierz Wielki wydał nawet w roku 1347 specjalny dekret, w którym nakazywał, aby karczmarzom nikt gwałtownie czynić nie śmiał, a w roku 1433 ustanowiono inne znów

prawo, iż „karczmarze, którzy nie mają, ani orzą tów catych, ani polowicie, wolni są od podymnego”.

W XVII wieku powstał nawet pewnego rodzaju regulamin zapisany w „Ekonomice” Jakuba Kazimierza Haura, w której napisano: „Karczmarz, powinien być zawsze trzeźwy, czujny i baczny, bo różne w różnych głowach znajdują się fantazje: znajdują się taneczni, są napaśnicy i złodzieje. Karczmarz ma być ludzki, każdemu uprzejmy i dogodny. Wszelki hałas musi uciecnie usmierzając, narzadza kaleszce usuwać. Karczmarz musi mieć muzykę zwykłą (...), albowiem szynk bez muzyki, wóz bez smarowidła, taniec bez dziewczki za nie nie stoi”.

Karczmarka winna baczność, aby żłobku w kredzie nie wyrzynała i dwóch kressek za jedną pijanemu chłopu nie znaczyła, piwa z konewki z góry nie pienia”.

Gości przebywających w karczmie również obowiązywały określone zasady postępowania, ale najczęściej, gdy już doszło do awantu-

Jednodniowe prawo jazdy

17-letni Rodney Kershow z Leeds w Anglii korzystał z prawa jazdy tylko jeden dzień. Policja przytępiała go na tym, że siedział za kierownicą w stanie nietrzeźwym. Chłopcu odebrano prawo jazdy i sołennie zapewniono, że nie otrzyma go przez najbliższe lata.

„Zrobiony w konia”...

Koło nie strzeżonego przejazdu kolejowego w północno-wschodniej Anglii stała budka z telefonem. Było to stałe połączenie z najbliższym dyspozytorem ruchu. Pewnego dnia do budki podszedł koń i dyskiem stracił z widelisk słuchawkę. Kiedy dyżurny ruchu usłyszał skoryczkę z telefonu, zamlał sygnału usłyszał tylko jakieś tajemnicze sapanie i ciężki oddech.

Nie wiedząc co się dzieje, dyżurny kolejkarz na wszelki wypadek zatrzymał wszystkie pociągi i spowodował ogromne zamieszanie. Był to rzadki przypadek kiedy koń „zrobił ludzi w konia”.

Czapki-rogatywki mistrza Leona



Krzyżówka

POZIOMO: 1) w oponie, 6) sekretarz KC KPCz, 9) antonim niepodległości, 10) zorganizowane działanie, 11) punkt przeciwny zenitowi, 12) rodzaj statywu, 13) cierpienie ze strachu, 15) zawiadomienie odbiorcy o wysłaniu towaru, 17) rozwozi węgiel ze składu do odbiorców, 19) leci w kluczu, 21) całodniowe wyżywienie, 23) żeglarski reżer, 25) przeciwieństwo dołu, 27) krasomówca, 28) cesarz rzymski, który wznosił Termę, Forum i kolumnę nazwaną jego imieniem, 29) ciastko z kremem, 30) łobuz, ulicznik, 32) przymówka, 35) roślina warzywna podobna do karczocha, 36) rzymski opiekun wejść i wyjść oraz wszelkiego początku i końca, 39) wyspa indonezyjska w pobliżu Sumatry, 40) tropikalna jaszczurka, 42) piszczy i można ją klepać, 44) utwór sceniczny z pierwszej połowy XIX w., 45) ptak drapieżny, 46) grupa ludzi wykonująca wspólnie jakąś pracę lub zadanie, 47) pasja, konik, 48) w herbarcie, 49) drewniane opilek, 50) kwitnie tylko raz, 51) manekin.

PIONOWO: 1) świństwo, 2) wokół żenicy, 3) minerał o diamentowym połysku, 4) poddeszwa, 5) podstawa góry, 6) siedziba samolotu, 7) solenizant z 8 listopada, 9) ptak z dawnego przeboju Piotra Szczepanika, 14) miasto sławnego Erazma, 16) włóczęga, o-bieżyswiat, 18) zbrojna napaść, 20) skrajnie konserwatywne ugrupowanie polityczne we Francji w okresie restauracji Burbonów, 22) współ-

ne dla Santor i Kwiatkowskiej, 24) czekał na Laurę pod jaworem, 26) słusność, 30) w środku PAN, 31) tam się drwa rąbie, 33) owoc jednonasienny występujący u traw, 34) dokument będący dowodem przeprowadzenia operacji gotówkowej przez kasę, 37) pierwiastek chemiczny o symbolu Sb, 38) garderoba, 41) grządką kwiatową, 43) gład narzutowy.

HELLES

Wśród czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy pięć nagród książkowych. Na kopertach prosimy zaznaczyć: „Krzyżówka z nr 51”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 46

POZIOMO: masaż, suwak, ukośnik, zefir, fuska, Aracena, parowóz, widelec, Apis, neta, podbródek, wron, lump, zakon-nica, imię, wina, pantera, al-

kazar, szygar, rzepa, zjawa, uznanie, tytuł, wilga, PIONOWO: pokaz, gniew, skład, wesele, kłama, różdżkarz, niedziela, apteka, ospa, enklawa, e-tamina, grunt, lperyt, insekt, Izrael, armata, esaul, Atena, agent, krzew.

NAGRODY

Za bezbłędne rozwiązanie krzyżówki zamieszczonej w „Gazecie” nr 41 z 26 lutego br., nagrody książkowe wylosowali: Jan Kasjanowicz z Harasimowicz, Walerian Wasilewski z Kowal Olekich, Henryk Wilwisi ze Sztabina, Maria Kackieło i Walentyna Janewicz z Białegostoku.

Zamieszczone nagrody prześlemy pocztą. Nagrodzeni z Białegostoku proszeni są o odbiór nagród w Dziale Łączności z Czytelnikami redakcji „GW” (ul. Wesołowskiego 1, pokój nr 3, parter) w godz. 10-14. (jg)

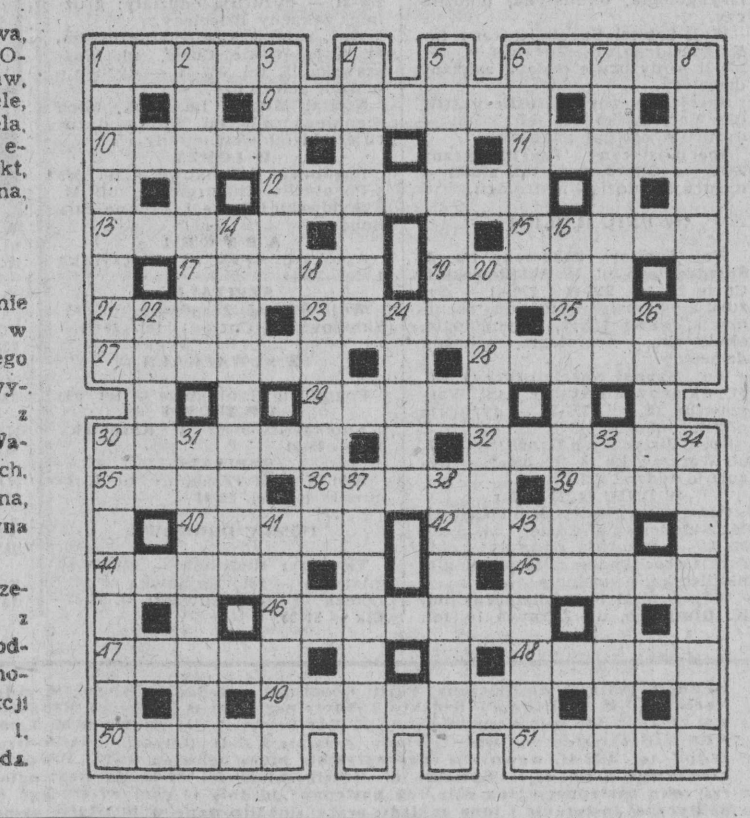
CZAPKI-ROGATYWKI MISTRZA LEONA OGRÓDNIICKIEGO

Leon Ogrodnicki od 45 lat związany jest z zawodem czapniczym. Swego fachu uczył się w słynnej warszawskiej Szkole Rogatki. Obok działalności zawodowej wiele czasu poświęcił swemu prywatnemu hobby — nauczył się szyc czapki wojskowe, swoje zainteresowania podparł gruntowną praktyką w wyspecjalizowanych zakładach firmach warszawskich. Znajomość szycia czapek wojskowych przysłała mu się wielokrotnie podczas okupacji — jako działacz AK, potajemnie wykonywał specjalnego ochronnego koloru polówki dla żołnierzy podziemia. Uszył także rogatywkę dla polk. Grzegorza Rybakowa — zastępcy szefa sztabu i pułku piechoty 3 Dywizji im. Romuła Traugutta — czapka ta znajduje się obecnie w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Po wojnie osiedlił się na Wybrzeżu, tu ma swój warsztat i tu wychowuje nowe pokolenie rzemieślników. W swoim zakładzie w Gdyni Leon Ogrodnicki urządził ostatnio wystawę czapek-rogaterek z różnych okresów historycznych.

NA ZDJĘCIU: Leon-Ogródnicki prezentuje wykonane przez siebie czapki wojskowe.

CAF — Stefan Kraszewski



KSIAZKI NA DESKANE

JAN ŁYSAKOWSKI — I WSKAZO W TYM JEDNYM
Książka i Wiedza 1981, nakład 10.000 egz., str. 256, cena 40 zł.

Powieść osadzona w realiach współczesności — w wielkim nowoczesnym zakładzie pracy, wśród konfliktów i „układów” społecznego małego miasteczka.

WILHELM PRZECZEK — ŚMIERĆ POMYSŁU POETICKIEGO, Wydawnictwo Łódzkie 1981, nakład 1.500 egz., str. 88, cena 21 zł.

Obszerne opracowanie na temat pacyfikacji wsi polskiej przez okupanta.

Tomik poetycki.

STEFAN SWISZCZOWSKI — MIASTO KAZIMIERZ POD KRAKOWEM, Wydawnictwo Literackie 1981, nakład 10.000 egz., str. 342, cena 50 zł.

Obszerne opracowanie historii materialnej i kulturalnej podkrakowskiego Kazimierza. Seria: „Craoviana”.

HALINA SZULC — EKONOMI-CZNE INSTRUMENTY STEROWANIA RYNKIEM ZYWNOSC-IOWYM, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1981, nakład 2.000 egz., str. 224, cena 31 zł.

Zwiazki między działaniem instrumentów polityki ekonomicznej a możliwościami regulowania poprzez nie równowagę rynkową.

HOIMAR VON DITFURTH — DZIECI WSKAZOWIAŁA, PIW 1981, nakład 50.000 egz., str. 376, cena 55 zł.

Trzecie wydanie bestsellera.

ELŻBIETA ZECHTER-SPLA-ROŚCI — GRANICE SZCZĘ-ROŚCI, Wydawnictwo Literackie 1981, nakład 2.000 egz., str. 60, cena 21 zł.

Tomik poetycki.

JURIJ BONDARIEW — KREW-NI, PIW 1981, nakład 20.000 egz., str. 174, cena 35 zł.

Powieść psychologiczna radzieckiego autora, znanego polskiemu czytelnikowi z kilku powieści. Seria: Klub Interesującej Książki.

JOZEF BŁONSKI — PAMIĘT-

NIK 1981-1939, Wydawnictwo Literackie 1981, nakład 5.000 egz., str. 294, cena 45 zł.

Obraz historyczny życia na przełomie wieków, w latach — jak pisze autor wspomnień — kiedy nasz kraj obudził się z niewoli.

JOZEF FAJKOWSKI, JAN RE-LIGA — ZBRODNIENIE HITLE-ROWSKIE NA WSI POLSKIEJ 1939-1945, Książka i Wiedza 1981, nakład 10.000 egz., str. 646, cena 21 zł.

Obszerne opracowanie na temat pacyfikacji wsi polskiej przez okupanta.

Z POLA WALKI, Nr 1 (93) 1981, Książka i Wiedza 1981, nakład 3.000 egz., str. 250, cena 20 zł.

Kolejny numer kwartalnika poświęconego dziejom ruchu robotniczego.

KAZIMIERZ KACZMAREK — POLACY W WALKACH O CZE-CHOSŁOWACIE, Książka i Wiedza 1981, nakład 10.000 egz., str. 132, cena 40 zł.

Seria: Biblioteka Pamięci Polak.

WACŁAW PAWLAK — PAT-TRZAC NA STARA FOTOGRA-FIE, Wydawnictwo Łódzkie 1981, nakład 5.000 egz., str. 256, cena 21 zł.

O myśleniu twórczym i kryteriach wartości.

RYSZARD JEGOROW — ZIEM-STA KSIĘCIA, Wydawnictwo Lubelskie 1981, nakład 30.000 egz., str. 408, cena 55 zł.

Powieść historyczna z siedemnastego wieku. Druga część trylogii zapoczątkowanej powieścią „Prawem kądzi”.
O myśleniu twórczym i kryteriach wartości.

ZBIGNIEW WRÓBLEWSKI — POD NAMIOTEM Z GWIAZD, Wydawnictwo MON 1981, nakład 30.000 egz., str. 252, cena 21 zł.

Powieść o tematyce współczesnej. Sensacyjna akcja